Nr. 41. Warszawa, dnia 30 Września (12 Października) 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

RZEŹ W KONSTANTYNOPOLU.

Dnia 30 września kilkuset armeńczyków ciągnęło ulicami Konstantynopola — ku Wielkiej Porcie. Nieśli do niej petycyę o gubernatora chrześcianina w Armenii, o radę notablów przy urzędzie gubernatorskim, o ustępstwa takie same, jakich d. 11 maja r. b. dopominały się dla armeńczyków mocarstwa działające, wreszcie o zupełną amnestyę. Na tę manifestacyę armeńską policya odpowiedziała swoją własną: stała zbrojną już na ulicach, któremi ciągnąć miała gromadka armeńczyków, działająca niezawodnie w porozumieniu z patryarchą, a pod tchnieniem komitetu rewolucyjnego w Londynie. Policyi asystował i lud turecki. Niedaleko już od celu stróże bezpieczeństwa zastąpili armeńczykom drogę. Wszczęła się zwada, bójka, wreszcie bój i krwawa walka. Policya wraz z ludem zmogła bez trudu słabą gromadkę.

Kto nieżywy lub raniony nie padł na bruk, ten dostał się w moc policyi, jako jeniec wojenny, i traktowano go też jako jeńca—w czasach barbarzyńskich. Softowie i ulemowie, wmieszani w tłum, umieli podsycić jego fanatyzm religijno-plemienny; nie pozostali też w tyle za nimi i policyanci, wzywający lud na pomoc w walce: rozbudzona krwiożerczość objawiła się doraźnymi mordami. Gdy policya oprzytomniała i zaczęła bronić uwięzionych, lud już gwałtem ich wyrywał, ciągnął na stronę i mordował. Zapach krwi rozszedł się po całej dzielnicy. Motłoch jął chwytać niewinnych przechodniów, wdzierał się nawet do sklepów i domów, napadał na posterunki policyjne, do których spędzano jeńców i tam jeszcze gospodarował drągiem, hakiem i nożem.

Wieczorem tego dnia pojawiły się patrole wojskowe na ulicach i przestrzegając porządku, położyły tamę gwałtom i rozlewowi krwi. Ludność armeńska z Galaty i Pery, przerażona, zamknęła się w trzech swoich kościołach. Tu przynajmniej czuła się bezpieczną. Ale fanatyzm jeszcze się nie nasycił. W nocy z wtorku na środę powtórzyły się napaści, w mniejszym tylko zakresie, niż ostatniego września. Jeszcze w piątek turcy wywoływali rozruchy, choć już wojsko stało na placach i odbywało patrole po mieście. Dopiero od soboty panuje w samym Konstantynopolu spokój. Gdy się wzięto do obliczenia ofiar, turcy podali swoich 50, rannych i zabitych; armeńczycy 800 — liczba wygórowana, ale na pewno padło dwustu kilkudziesięciu pod kulą, nożem i drągiem. Liczbę trudno ustanowić, bo turcy w Galacie postępowali sumarycznie ze swemi ofiarami: pomordowanych krajali na kawały i wrzucali w morze: doświadczona metoda sułtanów, paszów i samców zazdrosnych.

Armeńczycy we środę jeszcze trzymali się w kościołach, drżąc z obawy o nietykalność osobistą, o życie. Patryarcha kazał katedrę na Kum-Kapu pokryć kirem; wewnątrz także przybrał świątynię żałobnie. We wtorek odbyć się miał pogrzeb siedemdziesięciu kilku ofiar, nadesłanych patryarsze przez policyę. Przewidywano nowe starcia, ale do środy wieczorem nie było jeszcze żadnej o nich wiadomości. Za to już w poniedziałek zaczęły się rozruchy w odległem od Konstantynopola o dwadzieścia mil na zachód nad morzem Marmora, Rodosto, gdzie mieszka wielu armeńczyków, prowadzących zyskowny handel. Były rozruchy i w Antyochii z charakterem również fanatycznym tureckim. Lada dzień spodziewać się można wybuchu nowych płomieni — wszędzie, gdzie armeńczycy samą liczebnością swoją drażnią egoizm wyłączności tureckiej.

Dyplomacya europejska, szanując udzielność Turcyi, poprzestała na nocie ustnej, a w niej zażąd ała nagany dla policyi za zbyt gorliwe pełnienie obowiązków i czepianie się ludzi niewinnych, a obok tego zły nadzór i słabą energię porządku; upomniała się też o bezpieczeństwo cudzoziemców. Dla tego bezpieczeństwa wprowadziła do portów wewnętrznych okręty, które ma stale do swego rozporządzenia na morzu Marmora. Oto wszystko. Sprawa ustępstw dla Armenii utknęła: krew nie dodała jej rozpędu. Gdy pod ciężarem wypadków runął poprzedni wezyr, Said, nowy, Kiamil, przyrzekł wszystko, co jest do zrobienia w Stambule, w Armenii, nawet w Macedonii. Dyplomacya przyjęła stary trzygrosiak za dukata — i przeżuwa sprawy bieżące. A Anglia — mimo Jowiszowej przestrogi — nie śmie się wysuwać przed linię. W szarem świetle, przy cienko siekącym deszczyku — rozwija się idea opieki nad chrześciaństwem w Turcyi.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W Turcyi postęp: rzeź w samym Konstantynopolu — d. 30 września, 2—4 października. Ofiarami — armeńczycy, którzy postanowili petycyą własną poprzeć działanie dyplomacyi europejskiej o ustępstwa dla narodowości armeńskiej w Azyi. Ze stron tamtych donoszą o nowych, krwawych rozruchach. Porta, nie tracąc rezonu, na podstawie sprawozdań swoich urzędników występuje z uroczystem zaprzeczeniem przeciwko prasie europejskiej, zwłaszcza angielskiej: ofiar nie tysiące, ale tylko setki; padło wszystkiego 300 do 505—wielkami rzecz! Kiedy się rzeź dziać może pod oczyma samego sułtana, a co większa, samej Europy, patrzącej i czującej przez swoich posłów - ambasadorów: cóż dopiero dziać się musiało w zapadłym Sassunie, gdzieś tam w głębi już Azyi Mniejszej, gdzie Europa ma zaledwie konsulów i vice-konsulów, rzadko porozrzucanych

Niezgody i zawiści dyplomatyczne zapewniają Turcyi istnienie— zapewniają też i bezkarność za gwałty i pobłażliwość za złą wiarę i wolę w udzielaniu łask armeńczykom. Nowy wezyr Kiamil, jest przyjacielem anglików, ale większym przyjacielem turków, a tę większą przyjaźń pojmuje po babsku, po kramarsku, jako obowiązek bronienia tradycyjnych praw tureckich, tradycyjnych jej nieporządków. Dopóki z dyplomacyi nie wyłoni się energia, istotnie godna tej nazwy, tkwiąca w dobrze zrozumianym, na jutro, nie na dziś, obliczonym interesie, dopóty niczego spodziewać się nie można.

We Francyi niepokój o Madagaskar słabnie wobec depesz angielskich o wzięciu już samego Antananarywo przez gen. Duchesne'a. Stać się to miało jeszcze d. 27 z. m., trochę za wcześnie, ale stać się mogło w trzy dni później. Doniesienie atoli jest niepewnem i sam *Temps* ostrzega przed łatwowiernością.

Włosi rozpoczęli kampanię przeciw negusowi Menelikowi. Niedarmo Baratieri tak się śpieszył, że nawet na święto narodowe nie został w Europie. Teraz już celem jest podbój całej Abisynii. Anglicy, dopomagając włochom, zajmują Kassalę, której załoga pójdzie, dzięki temu, na linię bojową.

Nowy gabinet przedlitawski składa się z następujących ministrów: Badeni Kazimierz, prezes i minister spraw wewnętrznych; Gautsch v. Frankenthurn Paweł, minister oświaty — był nim już w gab. Taaffego od r. 1885—93; Welsersheimb Zenon, minister obrony krajowej, stale od r. 1880 na tym urzędzie; Biliński Leon, minister skarbu, dawniej prof. uniwersytetu lwowskiego, później dyrektor austryackich kolei państwowych; Eichs-Glantz Hugo, minister handlu, poprzednio szef wydziału w tem ministeryum; Gleispach Jan, minister sprawiedliwości, od r. 1894 członek Izby panów, bogacz, właściciel ziemski; Ledebur Jan, minister rolnictwa, magnat rolny czeski. Hr. Badeni sam już opracował zarys nowej reformy wyborczej. Pożegnał już Galicyę i od wtorku urzęduje normalnie.

W Chinach po dawnemu: jest niby satysfakcya za mordy w Fu-kien, ale niema żadnych rękojmi, a Państwo Niebieskie coraz bardziej wymyka się z rąk Anglii.

Na hr. Ito, pierwszego ministra japońskiego, był zamach, z lekką raną w skutku. Japonia podnosi stopę pokojową swej armii do pół miliona, a w Port-Arthur, zamiast burzyć dawne, wznosi nowe warownie.

BADANIA NAUKOWE.

LUDWIK PASTEUR.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Jakże niedawno jeszcze — rzekłbym, kilka dni temu — z szacunkiem i uznaniem zasług, składano hołdy temu królowi wiedzy społecznej! Jak donośnem echem rozbrzmiała wówczas jego sława, jak w dzień jubileuszu wszystkie dzwony wszechnic europejskich uderzyły dźwięcznie i wspaniale na jego powitanie! Zaiste, w naszych czasach broni piekielnej i instynktów nizkich, owo uczczenie oddania się wiedzy i pracy nad dobrem ludzkości, było jednym z najbardziej podnoszących objawów.

A tymczasem ów robak, który toczy najwspanialsze gmachy, który nie przebacza mahoniom i palisandrom istot ludzkich, który przewierca najpiękniejsze żywoty i zamiary: śmierć nielitościwa, już wydrążał w organizmie wielkiego człowieka długie krużganki, wykuwał chodniki, wiodące ku nicości. Nabyta w trudzie i wielkich znużeniach choroba, długo podminowywała zwycięzcę tylu najstraszniejszych wrogów człowieczeństwa, nareszcie go pokonała. Czarna chorągiew powiewa nad domem, w którym trudził się olbrzym.

Ludwik Pasteur urodził się w Dôle, kantonu Jura 27 grudnia 1822 r. Ojciec, stary wiarus napoleoński, odpasawszy broń, wziął się do rzemiosła i w ojczystej mieścinie otworzył garbarnię. W tejże mieścinie Ludwik rozpoczął naukę, dopełnił ją zaś w Arbois i Besançon.

Po skończeniu gimnazyum otrzymał miejsce repetytora. Zajmując to stanowisko skromne i niemal poniżające, pracował nocami nad sobą. Chciał wstąpić na wydział matematyczny w Szkole Normalnej w Paryżu. W 1842 r. zasiadł do egzaminu, lecz złożył go czternasty co do wysokości stopni. Sądząc, że lepiej popracować jeszcze w danej dziedzinie, wrócił do domu, podjął pracę na nowo i w 1843 zdał jako czwarty.

Jednak od matematyki skierował się umysł młodzieńca szybko ku chemii. W Szkole Normalnej wykładał wówczas Balard, w Sorbonie — Dumas. Dzień powszedni i niedziela zbiegały chciwemu wiedzy na pracach i po kilku latach uzyskał wreszcie katedrę dopełniającego profesora chemii w Sztrasburgu. Ztąd przeniósł się wnet do Lille, w r. 1854 był już dziekanem tamtejszego fakultetu przyrodniczego.

Jednym z najważniejszych działów przemysłu, jaki uprawia północna Francya, jest produkcya alkoholu. Pasteur rozpoczął studya nad wytwarzaniem się owego ciała. Po kilku odkryciach krystalograficznych jął rozpatrywać kwestyę fermentacyi, teorya Liebiga, obowiązująca podówczas, tłómaczyła fermentowanie ruchem mechanicznym. Pasteur w pierwszej swej rozprawie o fermentacyi mlecznej dowiódł obecności i wpływu w procesie przytoczonym istoty organicznej, fermentu, podobnego do fermentu piwa. Dalsze badania utwierdziły go w przekonaniach i określiły niezbicie rolę istoty żyjącej.

W 1858 dyrektor muzeum przyrodniczego w Rouen, Pouchet, oświadczył w sprawozdaniu odczytanem przed Akademią przyrodniczą (*Académie des sciences*) w Paryżu, że znalazł drobne organizmy, rodzące się bez przodków i nasion. W 1860 Akademia wyznaczyła nagrodę na bliższe zbadanie tej sprawy. Zdobył nagrodę Pasteur: wzbyt przekonywający sposób zbił twierdzenia Poucheta.

Na morzu, które odkrył, spostrzegał coraz nowe wyspy, zawijał w coraz to nowych zatokach. Znalazł ferment octu: grzybek mikroskopijny, *mycoderma aceti*, mogący żyć tylko na powierzchni wina; przetwarza go na ocet, ściągający z powietrza tlen i osadzający go na alkoholu, który wskutek tego przemienia się w kwas octowy. Podał sposób leczenia chorób wina, w kilkanaście lat potem chorób piwa: rozgrzanie do temperatury 55 — 60°. Stworzenie możności przywrócenia smaku napojom, które często podlegają szkodliwym wpływom, posiada olbrzymią doniosłość w przemyśle, to też

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ TRZECIA.

ZWIASTUN.

Widok 29

Noc już zaczęła bladnieć brzaskiem, a Arjos klęcząc w ciemnym lochu, ciągle jeszcze rozmawiał z bogiem, który zstąpił do duszy jego. Nagle drzwi się otworzyły i weszło kilka postaci. Jedna z nich wezwała go przyciszonym głosem.

Arjos.

Jestem tu. Kto mnie woła?

Bion.

Twoi uczniowie, mistrzu: Bion, Aleb, Tarlon.

Arjos.

Jakże tu weszliście przez straże i drzwi żelazne?

Bion.

Kluczy dostarczyła nam pewna zacna niewiasta od przekupionej służby dozorcy więzienia, a upity wartownik śpi.

Arjos.

Czyliż was uczyłem nieprawości? O, bracia, jest to najboleśniejszy kamień, jaki we mnie uderzył.

Tarlon.

My chcemy cię ratować. Za więzieniem czekają na nas konie, mamy bezpieczne schronienie u przyjaciół, wywieziemy cię do innego kraju...

Arjos.

Nie, nie, mną tylko bóg rozporządza. Gdyby jemu podobało się uwolnić mnie stąd, pod tchnieniem jego woli te mury roztopiłyby się, jak lód pod dotknięciem słońca, a jego aniołowie przenieśliby mnie na swych skrzydłach, dokądby im rozkazał.

Aleb.

Mówiłeś przecie, że Elion jest dobry; czemuż tego nie uczyni?

Arjos.

Alebie, Alebie, ten sam Elion stworzył wszechświat pełen tajemnic, których nikt dotąd nie przeniknął, a ty chcesz znać jego zamiary? Gdybyś go całkiem rozumiał, nie byłbyś człowiekiem, a on nie byłby bogiem.

Bion

Mistrzu drogi, błagamy cię, nie idź dobrowolnie na spotkanie śmierci, lecz usuń się jej z drogi, skoro możesz.

Arjos.

Mogę? Mylisz się, Bionie. Kto miłuje prawdy wiary swojej, nie wyrzeknie się ich, nie opuści, nie ucieknie od nich wobec największego niebezpieczeństwa, bo je kocha, jak matka dzieci, jak oblubieniec oblubienicę. A kto nie jest gotów umrzeć za te dzieci duszy swojej, za te oblubienice serca swojego, ten albo nie jest ich godzien, albo one niegodne jego. Jestże to miłość, która powiada: trwać będę w sytości, zdrowiu, powodzeniu, a zniknę w głodzie, chorobie i niedoli? Jestże to przekonanie, które twierdzi: wyznaję co innego pod błogosławieństwem, a co innego pod karą; co innego przed przyjacielem, a co innego przed wrogiem? Nie bądźcie wiarołomnymi zwodzicielami dla myśli waszych, lecz bądźcie ich niezłomnymi kochankami. Pamiętajcie i uczcie, że choćby kto wszystkie dowody czci i przywiązania wierze swej złożył, a tylko ofiary z życia swego jej odmówił, nie kocha jej. Miłość wymaga wszystkiego, nawet śmierci.

Aleb.

Nie spiesz się z nią. Na dobro tych dusz, które napełniłeś i napełnisz prawdą i cnotą, zaklinamy cię, wyjdź z nami. Któż będzie ludzkie rzesze do boga zbliżał?

Arjos.

Alboż wy nie zostajecie? Czyż daremnie rozdzielałem między was chleb nieba, który mi bóg powierzył? Nie narzekajcie. Nie zginę jako stłuczone naczynie, którego płyn wylał się i wsiąkł w ziemię bez śladu; nie zginę jako grzmot, który odezwawszy się echami, milknie; nie zginę

jeden z najwybitniejszych wytwórców piwa, Jacobsen w Kopenhadze, umieścił w swej fabryce biust francuskiego badacza.

Około r. 1863 ciężka choroba nawiedziła jedwabniki. Dumas wezwał Pasteura do badań w tym zakresie. Miał tu wielki mąż poprzedników włoskich Filippi'ego, Cornalię, Osima, Vittadini'ego Ich studya poprowadził dalej, wykazał, iż sprawcą owej zarazy jest organizm mikroskopijny i umożliwił jego zwalczenie.

Świetne rezultaty ciężkiej pięcioletniej pracy nad powyższą kwestyą zyskały mu poklask Europy, nagrody od rządów francuskiego i austryackiego, zarazem paraliż połowy ciała.

Dwa lata trwała walka życia ze śmiercią, zwyciężyło pierwsze. Lecz dawnych sił już chory nie odzyskał, została mu na zawsze niemoc wewnętrzna i chwiejny chód.

Po wyzdrowieniu został powołany z Lille do Paryża i mianowany po kolei profesorem Szkoły Normalnej, szkoły Sztuk Pięknych, Sorbony. W 1869 wybrano go do Akademii przyrodniczej w Paryżu, w 1870 w Londynie. W tymże roku zaszczycono godnością senatora.

Od chorób ciał organicznych, od słabości stworzeń niższych, podnosił się ku wyższym i człowiekowi. Trzydziestego kwietnia 1877 odczytał w akademii raport, napisany wespół z Chamberlandem i Roux, że laseczniki odkryty w r. 1850 przez Daraine'a i Royer'a w karbunkule stanowi istotną przyczynę choroby. Do tych samych spostrzeżeń doszedł i przy badaniu t. z. kurzej cholery.

Rok 1880 stanowi ważną datę w życiu Pasteura, jeszcze ważniejszą w dziejach medycyny. Genialny badacz spostrzegł, iż karbunkuł, skoro raz już nawiedził dany osobnik, potem albo zupełnie nie wraca, albo objawia się po bardzo długim czasie. Miałżeby organizm wyrabiać w sobie odporność na jakąś chorobę, raz jej uległszy? Okazało się, że tak. I stąd przeszedł odkrywca wielce ważnego objawu do leczenia wścieklizny.

Rano szóstego lipca 1885 przywieziono do jego pracowni dziewięcioletniego chłopaka, Józefa Meistra z Alzacyi, pokąsanego przez wściekłego psa. Na ciele miał czternaście ran; pies gryząc, rzucił go na ziemię, a gdy malca dobyto z pod zwierzęcia, ciało broczyło we krwi i pianie. Pasteur, który prowadził od lat kilku już badania nad uodpornieniem psów za pomocą wszczepiania im jadu coraz silniejszego, dobytego z tkniętego wścieklizną królika, ongi w r. 1884 zaproponował był akademii ustanowienie komisyj celem zbadania odnośnej metody. Lecz była jeszcze wówczas za mało wypróbowaną i często zawodziła.

Teraz, kiedy chłopcu groziła tylko śmierć, a nowa metoda mogła go może uratować, zasięgnąwszy rady Vulpiana i Granchera, ośmielił się na podjęcie przedsięwzięcia z człowiekiem. Szóstego tedy lipca wieczorem o ósmej, w sześćdziesiąt godzin po ukąszeniu wstrzyknięto Meistrowi pod skórę niewielką ilość bulionu, zaprawionego wysuszonym rdzeniem króliczym, odpreparowanym piętnaście dni temu, z rażonego mocną wścieklizną gryzonia. Przez 10 dni trwały wstrzykiwania, początkowo dwa razy dziennie, potem raz, zawsze coraz silniejsze, brane przy końcu z zupełnie świeżych królików, w przeddzień uległych wściekliźnie.

Józef Meister nietylko, że nie uległ zatruciu przez wstrzykiwanie dawki—rownocześnie dawką tej samej siły zatruwane króliki ginęły—ale i nie doświadczył skutków ukąszeń. I wyszedł zdrów ze szpitala.

Nad doniosłością tych wypadków nie potrzebujemy się rozwodzić. Przebyliśmy wszyscy okres, w którym podawano ważność odkrycia Pasteura w wątpliwość, a potem oceniano je jako niezmierne. Historycznie jest ono niesłychanej wagi, bo stanowi punkt wyjścia nowych zdobyczy terapeutycznych.

Już dawno przedtem tenże Pasteur określając naturę zapaleń przy ranach, dokonał przewrotu w nauce chirurgii. Otworzył szeroką drogę metodzie antyseptycznej, zmniejszającej o połowę, jeśli nie więcej śmiertelność w wypadkach skaleczeń.

Oto słowa wielkiego chirurga angielskiego, Listera, jednego z najbardziej zasłużonych w nauce antysepsyi:

„Nie masz w całym świecie uczonego, któremuby medycyna więcej zawdzięczała, niż Pasteurowi. Dzięki jemu, chirurgia przebyła gwałtowną rewolucyę, zrzuciła z siebie jarzmo przestrachu, bezbrzeżnie prawie rozszerzyła granice swego wpływu."

W 1888 zainaugurowano instytut jego imienia, w 1887 wybrano go stałym sekretarzem Akademii przyrodniczej. Kilka uniwersytetów nadało mu tytuł swego doktora, anglicy zaszczycali medalami. Rezultaty prac, prowadzonych pod jego kierownictwem ogłaszały światu specyalne „Roczniki," redagowane przez Duclaux przy współudziale Roux'a, Chamberlanda, Granchera, Straussa i innych.

Lecz wiek i choroba nerek przybijały go do ziemi. Coraz bliżej przysuwała się mogiła. Dwudziestego dziewiątego września zamknął oczy w wiosce Garches.

O nim Huxley mógł wyrzec: Samych odkryć Pasteura wystarczyło, by zrównoważyć Francyi stratę pięciu miliardów, wypłaconych Prusom.

On zaś w jednej z przemów powiedział:

„Wierzę niezłomnie, że wiedza i pokój będą święcić tryumfy nad ciemnotą i wojną. Że ludy porozumieją się z sobą, aby nie niszczyć, lecz budować i że przyszłość do tych należy, którzy jak najwięcej zrobią dla ludzkości cierpiącej." *B—l.*

ZJAZD SOCYOLOGÓW W PARYŻU.

Zjazd drugi socyologów otworzył, w nieobecności A. Schäffiego, prof. M. Kowalewskij, który w ciągu parodniowych obrad wyróżniał się z towarzyszy głębokością swoich wywodów.

Zwłaszcza dwa tematy zaprzątnęły uwagę członków kongresu: dzieje rodziny i ewolucya form politycznych.

Już z góry można było oczekiwać, że dojdzie do ożywionej wymiany zdań z powodu początków rodziny. Zapowiedziano bowiem parę odczytów w tej kwestyi, referentami zaś byli uczeni, hołdujący wręcz odmiennym poglądom. Westermarck namiętnie bronił swojej teoryi, z którą dawniej zapoznali się czytelnicy *Prawdy*. Profesor finlandzki usiłował dowieść, że rodzina indywidualna zawsze była zasadniczą formą związku rodzinnego, zbiorowe zaś jej postacie, np. wielomęzka i wielożeńska, stanowią zjawisko poboczne, wypływające z przyczyn czysto miejscowych; że prawo macierzyńskie jest faktem wtórnym, pochodzącym z poligamii, ponieważ tam zachodziła potrzeba wyróżnienia potomstwa tego samego ojca, ale różnych matek pomiędzy sobą. W odpowiedzi na

---

jako błędna gwiazda, która zakreśliwszy świetlaną smugę w przestrzeni, zapada w jej otchłanie. Chociaż ciało, Arjosem zwano, zniknie, duch jego trwać będzie przez wieki, bo jest to duch boski. Rozejdźcie się więc i roznieście go na wsze strony świata, przekazujcie go swoim uczniom i następcom, niech oni nie odpoczną w tem świętem apostolstwie, dopóki życie całego stworzenia nie będzie jedną wielką miłością.

Bion.

Zbyt trudne zadanie, mistrzu, wyznaczasz sercom naszym. Bo czyż możemy kochać tych, którzy cię skazali na męczeństwo i śmierć?

Arjos.

Powtarzam wam: kochajcie wszystkich, a sąd nad ludźmi pozostawcie bogu, który ciągle waży winy i cierpienia ludzkie, a nigdy jeszcze szala cierpień człowieczych nie okazała się wobec jego sprawiedliwości lżejszą. Jeżeli nikt dotąd nie stracił prawa do miłości boga, czyż może je stracić do waszej? Kochajcie więc dobrych za cnotę, a złych za nieszczęście. Bo strasznie nieszczęśliwymi są ci, którzy nie umieją czynić dobrze. Gdy dusze ich, wyzute z ciał, spojrzą na swe występki, ogarnie ich tak okropna boleść, jakiej nie zaznał nigdy człowiek uczciwy. No, bracia moi, świt wbiegł przez okienko i każe wam odejść, ażebyście schwytani tu nie dali ludziom powodu do popełnienia grzechu. Idźcie, już obudzić wartownika i połóżcie klucze przy drzwiach, niechaj plama nieprawości z rąk waszych się zetrze.

Bion.

Nie masz jeszcze jakiego dla nas rozkazu?

Arjos.

Otoczcie braterską opieką duszę najczystszą, jaką widziałem na ziemi, Orlę.

Tarlon.

Świętą była i świętą nam będzie, panie.

Arjos

Teraz już odejdźcie, ażeby was nie zastali ci, którzy po mnie przyjdą.

Bion.

O boże, boże, dlaczegóż nam go zabierasz?

Arjos.

Boga słuchaj, zrozumieć się staraj, kochaj, ale nie oskarżaj.

Aleb.

Więc już oczy nasze nigdy cię nie ujrzą, uszy słów twoich nie usłyszą?

Arjos.

Spotkamy się u boga.

Objął ich głowy i ucałował. A oni, zakrywszy twarze rękami, wyszli szlochając.

Widok 30.

Na wierzchu góry, pod Tenorą, gdzie Arjos przebywał ze swą liczną rzeszą, wkopano słup, przy którym z jednej strony ustawiono kilka zbitych, przenośnych schodków, a z drugiej wysoką drabinę. Tego dnia niebo przywdziało swój wspaniały płaszcz ciemnego granatu, obrzeżony na skrajach rąbkiem białych, kędzierzawych obłoczków, niby oszyciem piór strusich. Promienne oblicze słońca patrzyło na świat dumnie, ale z zadowoleniem i miłością. Już świetlistą swą głowę zaczęło pochylać ku zachodowi, gdy tłum, który szerokim pasem objął wokoło górę, oczekując niecierpliwie krwawego widowiska, dostrzegł czworobok pieszego wojska, przysuwający się od Protoryi, któremu przewodniczył jeździec na koniu.

Głosy.

— Nareszcie!

— Ach!

— Gdzie skazaniec?

— Nie widziałem jeszcze nigdy takiego tracenia.

— O, ja widziałem nieraz.

— Nie pomógł dyabeł, który ukradł klucze dozorcy i otworzył więzienie. Coś mu przeszkodziło wypuścić swego ptaszka.

— Podobno wyznawcy Arjosa uzbroili się i mają zamiar go odbić.

— Dlatego zwiększono oddział wojska.

— Co wy mówicie. Ukryli się w norach, jak myszy ze strachu.

— Czy on tu zaraz będzie pogrzebany?

— Jeżeli ciała nie zabierze i nie pochowa rodzina, to pozostanie ono na miejscu dla ptactwa drapieżnego.

— Wiecie, ja się boję.

— Czego?

to M. Kowalewskij rozwinął tezę wręcz przeciwną, później głos zabrał Letourneau, Steinmetz i in. W związku z tym samym przedmiotem znajdował się referat Gumplowicza (nieobecnego), który oświetlił kwestyę ze stanowiska prawnego. Jego zdaniem, powaga ojcowska opiera się wyłącznie na sile, rodzina zaś patryarchalna stanowi następstwo ukazania się organizacyi państwowej. Nie istniałaby ona, gdyby państwo nie przyznało ojcu prawa życia i śmierci nad żoną i dziećmi. Powstała wraz z państwem, rodzina jest środkiem utrwalenia władzy zwycięzców nad zwyciężonymi, oraz przekazywania jej w spadku z pokolenia na pokolenie.

Co do dziejów form politycznych, senator Lilienfeld, z Rosyi, odczytał długi referat. Worms, zwolennik rewolucyonizmu, później Limousin, Letourneau i M. Kowalewskij zapuścili się w szerokie wywody. Le Gruserie podniósł tezę dziejów arystokracyi. Według niego, arystokracya i demokracya są jednakowo koniecznemi kategoryami porządku społecznego a jedna drugiej bynajmniej nie wyklucza. Rozwój dziejowy, to zmiana jednych form arystokracyi przez inne, demokracya zaś zachowywa się albo obojętnie wobec tych przebiegów, lub też bierze stronę tej, która wydaje się jej sympatyczniejszą. Arystokracya kapłańska rozpoczyna dzieje, po niej idzie wojenna, później feodalno-ziemska. Wreszcie nastaje okres arystokracyi finansowej, dzisiaj zaś o władzę zaczyna dopominać się arystokracya wiedzy. Monin zbijał te wywody, odznaczające się płytkością. Naprzód zaznaczył, że ewolucya nie zawsze odbywała się w powyżej podstawiony sposób, następnie dowiódł, że każda zmiana rozszerzała wpływy tłumu, tj. iż rozwój zmierza w kierunku coraz demokratyczniejszym, przyczem żywioły przodujące arystokracyi zwykle arystokracieją. Co zaś do arystokracyi ducha, to jest ona wynalazkiem nie mężów nauki, ale nielicznego grona literatów, niezadowolonych z tego lub innego powodu.

Z innych odczytów wspomnimy o referacie M. Kowalewskiego, poświęconym rozbiorowi czynników, które wpłynęły na rozkład własności gminnej *).

*) W liczbie referentów znajdował się także p. K. Krauz, współpracownik *Prawdy*. (*Red.*).

ZJAZD FIZYOLOGÓW W BERNIE.

W ubiegłym miesiącu odbył się międzynarodowy zjazd fizyologów w Bernie. W jego pracach uczestniczyło stukilkudziesięciu specyalistów, wśród których—rzecz niezwykła—spotykamy powszechnie znane nazwiska. Punkt ciężkości rozpraw spoczywał w odczytach, podających nowe zdobycze i badania w zakresie fizyologii nerwów i mózgu; niemal połowa prelegentów zaprzątała uwagę słuchaczy kwestyami z tego zakresu. Przy kongresie urządzono wystawę instrumentów i laboratoryum fizyologiczne.

Podnoszono tam zagadnienia ważne dla nauki, lecz są one zbyt specyalne, dla pisma naszego. Korzystając z okazyi, zwrócimy uwagę na inną okoliczność: „W ciągu czterech dni, które zjazd miał na swoje rozporządzenie — słowa prof. Bowditcha z Bostonu z mowy pożegnalnej—robiliśmy dużo, co zawdzięczamy naszej ustawie". Fizyolodzy bowiem mogą służyć za wzór dla innych gałęzi wiedzy pod względem sposobu wzajemnego porozumienia się. Dotychczasowe zjazdy naukowe nie zawsze bywają tem, czem być winny, i bynajmniej nie odpowiadają poglądowi, jaki o nich posiada zwykły śmiertelnik. Zdarza się bardzo często, że są one dla wielu środkiem wyrobienia sobie reklamy, ci zaś, którzy mieliby coś do powiedzenia, stronią od nich lub wycofują swoje referaty w ostatniej chwili. Zbiera się więc kilkunastu ludzi, jedni z nich faktycznie nic nie mają do powiedzenia, drudzy zaś wygłaszają rzeczy błahe. Fizyologom zagrażało jeszcze większe niebezpieczeństwo. Lekarze, pod wpływem wzajemnej konkurencyi, używają wszelkich środków, ażeby wybić się po nad tłum współzawodników. Asystentury i docentury prywatne w uniwersytetach niemieckich stały się dzisiaj takim środkiem rozgłosu, jak reklamy w dziennikach. Trzeba więc było spodziewać się, że na zjazdach zapanują tego rodzaju jednostki, szukające rozgłosy. Ale instytucya zjazdów fizyologicznych w chwili swego zawiązania się w r. 1888 przedsiębrała środki, zapobiegające obróceniu kongresu na rynki reklamy. Ograniczono czas trwania odczytu do kwadransu postanowiono nie drukować sprawozdań, gdyż dla prac istotnej wartości znajdzie się zawsze w miejsce w czasopismach specyalnych. Okazało się to skutecznem. Do tego dopomogły jeszcze inne okoliczności. Fizyologia wielce rozszerzyła swój zakres, tak, iż rozpada się poniekąd na szereg pojedynczych nauk, o zmyśle wzroku, obiegu krwi, funkcyach mózgu itd. Pociąga to za sobą konieczność wzajemnej wymiany, wielka zaś liczba prawników, jaką posiada wspomniana gałąź wiedzy, zapewnia zjazdom liczny udział głośnych uczonych, którzy naturalnym stanem rzeczy wysuwają się naprzód i zamiast reklamy podnoszą interesy nauki.

Następny zjazd odbędzie się w Cambridge.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Piotr Chmielowski! *Współcześni poeci polscy*, Petersburg, 1895, str. 494.

Chmielowski w nowym tym zbiorze szkiców i opracowań literackich użył całej zasobności i wszechstronności analitycznego swego umysłu w celu wydobycia na jaw choć jednego prawdziwego arcydzieła poetyckiego z bogatej stosunkowo galeryi tegoczesnego naszego rymotwórstwa. Wyznaje jednak z żalem, że poszukiwania spełzły mu na niczem, że w poezyi dzisiejszej, odznaczającej się wielką rozmaitością nastrojów wewnętrznych i obfitością form kunsztownie rzeźbionych, spostrzegać się daje ubóstwo, a nawet zupełny brak rozleglejszych pomysłów, wielkich kompozycyj i — orlich lotów. Liczne imiona śpiewaków dowodzą, że jest śpiew i jest śpiewność, ale w sposobie śpiewania „nie tyle znać słowików lub nawet skowronków, ile pięknymi głosami obdarzonych kanarków, ślicznie odtwarzających wyuczoną nutę..." Porównanie wspaniałe; z wielu względów starczyć ono może za streszczenie rozmyślań i uwag krytyka: dlaczego się tak dzieje i skąd się ta „uczoność" wzięła.

Czworobok nadszedł, stanął, rozwarł się, a z wozu, zaprzężonego w osła, dwaj oprawcy wysadzili Arjosa i powiedli go w otoczeniu wojska do słupa, który ono w szerokim kwadracie zamknęło i od tłumu odgrodziło.

Dowódca.

Mocą wyroku i nadanego wam prawa, oddajcie śmierci tego zbrodniarza.

Oprawcy wprowadzili rozebranego Arjosa na schodki, na których on stanął blady, pokaleczony kamieniami i podjął ręce w górę.

Arjos.

Elionie, boże miłości, przebacz im.

Jeden z oprawców, który wszedł na drabinę, uchwycił jego ręce i położywszy dłoń na dłoni, wbił przez nie w słup młotem wielki gwóźdź. Wtedy drugi odsunął schodki i Arjos zawisł. Rany dłoni naddarły się, ciało osunęło się nieco i wyprężyło. Następnie oprawcy nacięli mu głęboko nożami zgięcia rąk i nóg. Krew naprzód trysnęła strumieniami, potem zaczęła wyciekać na ciało i ziemię w grubych kroplach. Arjos bez skargi, bez jęku, bez wyrazu bólu w twarzy, podniósł oczy ku niebu i ciągle je tak trzymał, jak gdyby dojrzał tam swego boga.

Dowódca wydał komendę, wojsko zstąpiło się w kolumnę i odeszło. Za nim odjechali na wozie oprawcy. Tłum popatrzył jeszcze przez czas jakiś na wiszącego i nasycony widokiem męczeństwa, powrócił do miasta.

Arjos pozostał sam. Martwy, czy żywy, nie umiałoby powiedzieć nawet słońce, które schodząc z nieba, spojrzało po raz ostatni w jego twarz zżółkłą, zwróconą do nieba, oblekającego się powoli w gwieździstą szatę. Po skwarze dnia ziemia zanurzyła się z rozkoszą w kąpiel rosy, poczem no. owinęła ją do snu w mgły srebrne i mroki.

Idąc spiesznie drogą, stanęło u podnóża góry kilku mężczyzn. Zatrzymali się przed męczennikiem, a jeden z nich rzekł:

Aleb.

Omyliłeś się Arjosie. On się nazywa nie Elion, ale Topan!

I odeszli. Wkrótce tą samą drogą nadbiegła kobieta. Pędziła ją jakaś wewnętrzna burza, której błyskawice migotały w jej oczach. Jak ciśnięta potężną siłą bólu, wpadła na wierzch góry i stanąwszy z rozkrzyżowanemi rękami przed męczennikiem, krzyknęła głosem, od którego dreszcze przebiegły noc.

Orla.

Arjosie... mój!..

Arjos opuścił wzniesione oczy, spojrzał na nią, lekko drgnął, coś wyszeptał omdlałemi ustami i z rozjaśnioną twarzą skonał. Orla objęła jego nogi i targana gwałtownym płaczem, zaczęła je całować. Powoli wszakże ucichły jej szlochania, osunęła się na kolana i ciągle trzymając słup w objęciach, umilkła.

Wysoki mężczyzna, dążący jak gdyby w pogoni za kimś, ujrzał zdala, śród gęstej ciemności na górze krwawy słup, a nad nim tak wielką i olśniewającą gwiazdę, że wszystkie światła nieba razem nie mogły wyrównać jej blaskowi. Stanął i rzekł do siebie.

— Tam on... i ona.

Przybywszy na miejsce, długo nie śmiał dotknąć klęczącej kobiety. Nareszcie odważył się

— Pani dobra... pani moja... pani święta... Nie żyje!

Sternik opuścił rozpaczliwie ręce.

Widok 31.

Księżyc jeszcze nie obejrzał i nie zliczył gwiazd, gdy stary Sternik, przyniósłszy drabinę i łopatę, zdjął ciało Arjosa i wraz z ciałem Orli zaniósł pod oddaloną palmę, rosnącą samotnie śród pola, wykopał grób, złożył umarłych, zasypał ziemią i przykrył znowu murawą tak dokładnie, jak gdyby ona ruszaną nie była. Wziąwszy z sobą statki i zatarłszy ślady, odszedł. Ale jeszcze raz obejrzał się: pień i gałęzie palmy rozgorzały jasnością niby wielki świecznik; nagle wystrzeliły z niej dwa tęczowe kwiaty, które oderwały się i jako dwa duchy odleciały w przestrzeń.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ. *)

*) Na tem przerywamy w *Prawdzie* druk *Duchów*, które wyjdą w całości kiedyś osobno.

Jednakże, reguła przypuszcza wyjątki. W tegoczesnej poezyi polskiej są one liczne i ważne. Najgłówniejszy, zdejmujący niemal z czoła naszych młodych wieszczów stygmat „kanarkowości“ polega na tem, że sami pisarze doskonale wiedzą zarówno o mimowolnem swojem upośledzeniu, jako też i o właściwych celach swojego powołania. W książce Chmielowskiego są na to przykłady przekonywające. Zbierzmy z nich kilka; stanowią one pewną całość, zniewalając nas zarazem do ukochania i uczczenia w szczegółach i jednostkach tego, co w ogólnym wyniku wyraziło się niemocą, rozbiciem, powszedniością.

Czem jest poezya, czem być powinna? Odpowiada na to pierwszy zaraz z kilkunastu pisarzy, umieszczony w zbiorze Chmielowskiego, autor „Widziadeł,“ „Satyry“ i „Fragmentu powieści,“ Leonard Sowiński: „Jeżeli chcesz być wieszczem bratnich ciżb, więc rzuć gruchania ckliwe, mądrość liczb, zdawkowych poziom wyobrażeń, — a stań się słowem wielkich wrażeń, sumieniem w ciemny wpływającem gmin, pamięcią żywą bohaterskich wrażeń i wiarą uzbrojoną w czyn“ (30). Wiadome powszechnie życie Sowińskiego: nałogowość smutna wśród trudów i wyrobnictwa literackiego. Więc w drugim z tegoż zastępu rozbitków, pełnym niegdyś największych obietnic, twórcy „Salwatora,“ „Niebieskiej sonaty,“ „Pytania,“ Bogumile Aspisie, znajdujemy już tylko skurczone, korne, szyderstwem zatrute życzenie, ażeby losy zgotowały kiedykolwiek poetom naszym choć taką dolę, jaką ma szewc ze swego szydła i swojej dratwy. „Co trzeba zrobić — jest na to pewnie sposób łatwy? — by wśród próśb ludzkich powszechnych do nieba o szczęście, mógł je mieć równo mistrz ławy rymów za rym swój, jak za but — mistrz dratwy...“ (82).

Ale tuż zaraz na nowo, z Asnykiem, z Konopnicką, z Felicyanem (Faleńskim) wzbijamy się na takie wyżyny, że nawet najlichszy z naszych pisarków drugorzędnych, podnosi powoli senną głowę i napół obłąkanem wodzi dokoła pytaniem: Skądże ten pijak, ten wyrobnik, ten nędzarz szpitalny, — „gdy mu namaści usta światłość błoga, drży w sobie cały i dostaje mowy?— Bowiem jest synem słonecznego boga, więc mimo głazu ziębiące okowy, święta mu z serca wypływa pożoga“ (56). I choćby niejeden z nas, „światłością namaszczonych,“ zeszedł w znękaniu i strapieniu z nakazanej drogi, opuścił posterunek przykazań wielkich, przynaglony „księżycowe nikłe tęcze, rozwieszone mgły pajęcze na łeciuchne tkać przędziwa, chore serca do snu tulić, białych dziewic wiotkie żale stroić w świeżej krwi korale i filonów dniowe troski w harmonijne zlewać głoski“ (90), to jednak: *sursum corda!* niech żywi nie tracą nadziei! — berło świata zawsze w tej samej spoczywa dłoni... „Więc ja mam głos!.. Pobitych krzyk jest we mnie — i łuny miast i winnic spustoszenie, i miecza ostrz przenika mnie tajemnie — i cisną mnie żelzywych pęt rzemienie... (180).

Niestety, te nasze okrzyki i te nasze łuny brzmią najczęściej i płoną — tylko jak toast, tylko jak rumieniec przy uczcie. „My tyle właśnie mamy zapału, ile go mieści czara z kryształu; tyle uniesień, co pian w tej czarze i tyle ognia, co w tym w tym pucharze... Ludy się kędyś prą falą mętną, szumem ich wzbiera dziejowe tętno, nad żaglem trzeszczą maszty przegnile, to tylko żyje, co żyć ma siłę — a nam tymczasem młynek na strudze obraca plewy swoje i cudze... Górą mielizny! Na głębiach — giną. Niech żyje wino!..“ (176). A to znowuż cisnące stopy rzemienie nasze? — Cisnąć, to one cisną niewątpliwie. Ale czy nas tylko?.. To jedno. Powtóre, czy pewni jesteśmy, żeśmy je wyłącznie nosili, że innym nie narzucaliśmy ich nigdy?.. Ilekroć poeta, znużony podniebnym swoj duszy protestem, zniży cokolwiek poziom swych wzlotów i powie sobie: „ja będę latać jako ptak zraniony, nizko, nad ziemią tą, co w bólach kona, i jak jaskółka bijąc w skrzydła drżące, latać ja będę nad nizkie zagrody, nad pola nasze i lasy szumiące i modre wody“ (170), czy zawsze wolno mu będzie zawołać z Asnykiem do matki ziemi karmicielki: „na twoich błoniach wschodzimy jak kwiaty, a ty stosowno nam wyznaczasz grządki; każdy tu dla się znajdzie grunt bogaty, swych poprzedników kwiaty i pamiątki, i każdy łacnie na tej własnej niwie może zakwitać silnie i szczęśliwie...“ (123).

Przewidział i to autor „Z walk życia“ i „Z prawd życia,“ Kazimierz Gliński. Są niziny i są moczary, do których dostęp otwarty być może jedynie chartom i—myśliwemu; reszta służyć chyba będzie w roli naganiaczy... Nie, naganiaczami nie będziemy—powiada poeta. „Ja, który chciałem omdlałemu światu myśli siew złoty sypać dłonią hojną, dzisiaj mam rzucić świat marzeń tęczowy i własnych pragnień zaprzeć się nikczemnie?..“ Nie! — piszmy raczej o niczem. „Znasz różne pieśni — śpiewaj!.. Lecz o czem? Gdzie znajdę przedmiot do pieśni?.. Wiem, są pochyło dworki i strzechy, i spora ludzi gromadka, i stare cnoty, i nowe grzechy, i paciorz siwego dziadka; i są marzenia w sercu dziewiczem, i w chmurach skrzydła sokole — jednak śpiewać muszę o niczem — i wraz lirniczą kląć dolę!“ (327). Daremne to są wszakże usiłowania, zwodniczy na siebie samego lament. Każdą na świecie potęgę usidlisz, każdego potwora uśpisz,— czujności ducha nie zmożesz. „Jak ptak nad morzem, tak na skraju świata myśl niespokojna, w skrzydła bijąc, lata, i wskróś przeniknąć pragnie nurty mętne i w ciszę rzuca pytanie namiętne“; jeżeli przeto nie dziś, to jutro, jeżeli nie szerokim gościńcem, to wązką drożyną trafi ona „na ciche pola, gdzie ranek bije smugami złotemi — i ciepłem słowem przemówi o ziemi, którą uprawiać przypadła nam dola, o jutrze, które wyorać nam trzeba“ (181). Że się to stać może, że to nie odmienna różnorodnych naszych zabiegów meta, na której ten, „co wieki chodził ciemny, przejrzy przez nas biedny lud, błyśnie w głębi blask tajemny, stanie się światłości cud“ — zadatkiem i rękojmią po temu są takie klejnoty poezyi współczesnej, jak olśniewający swą strojnością i prostotą wiejską wiersz nieodżałowanego Stanisława Grudzińskiego: „Niech o niej pieśni za całą chwałę powiedzą, że lata nizko, jak ptaszę mało nad miedzą; że towarzyszy pracy pokornej wśród potu, i nieznała żądzy niesfornej odlotu; że cicha, słaba, wznieść się nie może w niebiosy, i widzi całe nieba przestworze w łzach rosy, i że najmniejsza gwiazdka srebrzysta jej gwiazdą, a światem dla niej łąka ojczysta — i gniazdo“ (255).

Żywot ziemski takich mistrzów słowa, takich serc tkliwych i kochających trwa wprawdzie krótko; prześlicznie powiedział Czesław: „Zmilkł dźwięk w strunie zerwanej: przyszedł — poszedł nieznany, — ot i życie śpiewaka“ (220). Ale brata nietylko na mogiłę bracia zaniosą — jeszcze go i zastąpią. Albo inaczej sny swe złote w chwilach natchnień rzeźbi twórca „Pustkowia,“ „Paryasa,“ „Z nizkich lotów,“ Wiktor Gomulicki, ilekroć obdarza nas cudnemi swemi niespodziankami: „wesoło tylko budzę w życiu echa, niechaj ofiary biorą od nas wszędzie: miłość i rozkosz, piękno i uciecha — lecz wprzód niech głodnych pośród nas nie będzie!“ (208). Albo do innych krain dążył, ku innym światom ciążył Mikołaj Biernacki (Rodoć), kiedy po przez zaciśnięte sarkazmem usta wyrywały mu się pobożno-dziękczynne strofki: „Gdy powiodę okiem po niebie wysokiem, po świata kobiercu, gdy z miłością w sercu widzę piękne w każdej porze nasze polskie niwy — widzę Ciebie, dobry Boże! — i jestem szczęśliwy“ (280). Nawet w gronie „mniej szczęśliwych“ lub „najmłodszych“ naszych pieśniarzy nuta ta wciąż się powtarza, jako zapowiedź świetniejszego rozkwitu poezyi. Smutnie, ale nie z samolubnych pobudek, w Józefie Wierzbickim: „Słuchaj mię, bracie, mniej kwiatów o wiośnie, więcej łez trzeba; wtedy twa dusza z łez owych urośnie w górę do nieba, wtedy ci serce społeczny ból skruszy, wtedy usłyszysz wśród nizin dokoła skargę ludzkości, co ciągle w twej duszy — ratuj mnie! — woła“ (408). W pewnem przyćmieniu dykcyi staroklasycznej, lecz również nie bez siły u Julii Terpiłowskiej, autorki „Borysa“: „Komu zdobyć praw do życia nie dano żelazem, ten je weźmie siłą pracy rąk splecionych razem“ (435). Silnie i doniośle u Miriama (Zenona Przesmyckiego): „Przeklęci, którzy jęczą i płakać uczą gmin, i siecią snów pajęczą zastąpić myślą czyn: cierpliwej pracy wielkiej dziś na nas przyszedł dział, musimy być jak kropelki, co żłobią głazy skał“ (442). Szerzej jeszcze i rozgłośniej u Jana Kasprowicza: „Za romantycznem nie gonimy kwieciem i egzotycznej nie pragniemy woni; nasza poezya — echem cierpień ludów, pragnieniem światła, chleba, wolnej dłoni“ (465). Górnie i dumnie u Tetmajera, gdy mówi o człowieku zbiorowym, że „naturze skarbów wziął tysiące, na szczytach wiedzy tron swój wzbił i patrzy w bytów tło drzemiące, jak król, choć jest wśród nich jak atom“ (475). Dzielnie, świetnie i hucznie u Andrzeja Niemojewskiego: „Nad skargi serc małych, nad zwątpień otchłanie, my dumnie podnieśmy dziś czoło, ulecim jak ptaki zwiastując świtanie, zwiastując ludzkości dziejowe zadanie — wesoło my lećmy, wesoło!“ (487). Spokojnie, cicho i uroczo, ale w tej samej zawsze idealnie-poziomej dążności u Włodzimierza Wysockiego: „Kocham pogodną, cudną jesień naszą, jesień rumianą, dostatnią, obfitą, która na łąkach stawia sterty z paszą, i sypie w zasiek pszenicę i żyto“ (310).

Bezwątpienia, są to wszystko luźne, pojedyncze jeszcze tylko zwrotki i połyski bądź obietnicy, bądź groźby, bądź zaklęcia; czuć atoli, że się z nich zwolna i stopniowo składa całość owego wszechpoematu, o którym powiada Gomulicki: „Bohaterów pieśń tworzy i unieśmiertelnia, w dłonie mężów miecz wciska, laur kładzie na głowy i kreśli pierwszy zarys budowy“ (194). Światów nowych, ani arcydzieł staremu światu nieznanych, tegocześni nasi poeci nie stworzyli; ale pośród owej strasznej ducha martwoty, jako według słów Adama M-skiego, spada niekiedy na złamane ludy i „najdzielniejszym mężom gnuśnie pleśnieć każe“ (310), każdy z nich o sobie powiedzieć ma prawo słowami Włodz. Zagórskiego: „Przez tę skrę boską, co we mnie zaklęta, tęskni do źródła, skąd wzięła poczęcie, przez ten głód prawdy, co ziemi odjęta—przez to wszechdobra i bóstwa pojęcie, przez to, że myślą w nieskończoność płynę — jam duch nad ziemską wywyższony glinę“ (275). Więc wszystkim im — i tym, co przed nami idą, i tym, co za tamtymi w przyszłość podążają, powiedzmy z Asnykiem na pożegnanie: „Idźcie! jak światła przystoi czcicielom, oświecać drogi ludzkiego pochodu ku coraz wyższym i jaśniejszym celom!“

J. T. Hodi.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Towarzystwo muzyczne. — P. Willy Burmester.

Pod egidą Towarzystwa muzycznego, jak na instytucyę specyalną przystało, wchodzimy w sezon koncertowy — a gdyby z początkowych popisów można wyciągać jakie wróżby na

przyszłość, sezon ten powinienby być wielce zajmującym.

Na pierwszym koncercie Towarzystwa przypomniała się publiczności tutejszej pani Camilowa, śpiewaczka, która przed laty kilku gościła na scenie teatru Letniego i w partyach Julii („Romeo i Julia" Gounoda) i Łucyi („Łucya z Lamermooru" Donizetti'ego) zyskała powodzenie. Dzisiaj należy ona stale do opery drezdeńskiej i cieszy się uznaniem krytyki i publiczności niemieckiej. Uznanie to w zupełności zasłużone; artystka obdarzona jest głosem dźwięcznym, o woluminie bogatym, w całej skali wyrównanym i niezwykle, jak na śpiewaczkę koloraturową, rozległym. Kto wie nawet, czy przy takich danych, zwłaszcza że głos artystki ma z natury dźwięki, nadające się do sytuacyj dramatycznych, dobrze ona zrobiła, wyspecyalizowawszy się w kierunku koloraturowym. Ma niewątpliwie tryle i gamy równe, pasaże bez trudu wybiegają z jej krtani, ale brak im lekkości i powiewności, brak głosowi słowiczego dźwięku, przymiotów, bez których trudno sobie wyobrazić śpiewaczkę koloraturową.

W wykonaniu całego szeregu pieśni Jareckiego, Galla, Niewiadomskiego, Gounoda, „Waryacyi" Procha i aryi „ogrodowej" Zuzanny z „Wesela Figara" Mozart'a p. Camilowa wykazała duże zrozumienie artystyczne i poczucie stylu; może tu i owdzie nie zawadziłoby trochę więcej temperamentu. Ale ten chłód, to specyalny przywilej śpiewaczek koloraturowych.

Obok tej artystki skończonej—o ile artyzm może kiedykolwiek mieć koniec—popisywał się początkujący adept sztuki skrzypcowej, — p. Zdzisław Birnbaum, uczeń Joachima. Młody skrzypek ma ton pełny, sporą dozę uczucia, rozporządza już dzisiaj niezłą techniką, niedostateczną wszakże do pokonania wszystkich trudności, jakiemi najeżony jest koncert D-minor Brucha, i dużo, za dużo temperamentu, który go dzisiaj prowadzi na bezdroża. Z czasem może potrafi okiełznać te wybuchy młodzieńcze, nad czem szczególniej pracować powinien.

Przedstawił nam się w Towarzystwie Muzycznem i drugi młody artysta, pierwszy raz popisujący się przed szerszą publicznością, tenor p. Julian Hoffman. Obdarzony z natury sporym głosem o nosowem brzmieniu i nieco stłumionym dźwięku; widocznie kieruje się na tenora bohaterskiego; takby wnosić należało z repertuaru i ze sposobu traktowania wykonywanych utworów. Artysta był w dobrej szkole, bo ma głos prawidłowo postawiony i niemniej prawidłową emisyę, ale ma też skłonność do krzykliwych efektów, upodobanie do zbytecznego nacisku we frazowaniu, co może wejść w manierę i zrobić zeń typowego tenora, polującego na łatwe uznanie sfer paradyzowych.

Wiadomo jest każdemu muzykalnemu człowiekowi, jak ważną rolę odegrywa akompaniament fortepianowy, bądź do śpiewu, bądź do skrzypców czy innego instrumentu smyczkowego. Wiedzieć o tem powinien, sądzimy, i zarząd Towarzystwa muzycznego. A jednak pozwala, by na estradzie zasiadał akompaniator, który co chwila niemal ścigany jest rozpaczliwemi spojrzeniami popisujących się wirtuozów, przyczem, oczywiście, nierzadkie są nieporozumienia w takcie i tempie. Temu złemu zarząd Towarzystwa stanowczo zaradzić powinien.

Niepoprzedzony żadnem głośnem echem zagranicznem, zawitał do nas p. Willy Burmester, młody skrzypek, hamburczyk rodem. Koncertuje on podobno dopiero od roku, był uczniem Joachima, lecz przez czas krótki, albowiem następnie sam sobie został mistrzem. I kto go słyszał, ten wobec takiej potęgi talentu dziwić się nie będzie. Przy wymaganiach, jakie dzisiaj stawiamy artyzmowi wykonawczemu, niełatwo zająć stanowisko, na które wzniósł się w tak młodym wieku p. Burmester. Podobnie wszechstronnego wirtuoza gry skrzypcowej nie zdarzyło nam się słyszeć, choć wszystkich niemal mocarzy mieliśmy sposobność podziwiać.

W grze każdego artysty daje się uczuć przewaga w pewnym kierunku, jeden zachwyca uczuciem, inny porywa temperamentem, inny jeszcze zdumiewa techniką. P. Burmester, obdarzony genialną organizacyą artystyczną, potrafił połączyć wszystkie te zalety, jakkolwiek najwybitniejszą cechą gry jego jest do bajecznych granic doskonałości doprowadzona technika i imponujący spokój w pokonywaniu wszelkich trudności.

Jeżeli smyczek jego nie wydobywa ze strun takich przejmujących do głębi tonów jak smyczek Barcewicza, to jednak potrafi tak wyśpiewać „Aryę" Bacha, iż zdawaćby się mogło, że się w jednej chwili na flet zamienił. Wyrobienie palców i pewność we władaniu smyczkiem posiada p. Burmester tak zdumiewające, że trudno się silić na pochwały. Oktawy, podwójne tryle, pasaże, najśmielsze interwale, podwójne flażeolety, wszystko to sypie się z pod rąk artysty z niesłychaną łatwością, z niezachwianą czystością intonacyi. W najzawilszem palcowaniu panuje zupełnie nad instrumentem, a wykonanie wszystkich utworów napiętnowane jest cechą wytwornego artyzmu.

Repertuar ma zastosowany w bogactwie do swojej organizacyi artystycznej. Słyszeliśmy klasyczny koncert (*E-minor*) Spohr'a z akademicką powagą i poczuciem stylu wykonany, utwory Ernsta, Bacha, Schumann'a, Wieniawskiego, Sarasatego, Brahms'a a nadewszystko „paleołomne" kompozycye Paganini'ego, które z żyjących dziś skrzypków bodaj czy kto jeszcze oprócz p. Burmestera z takiem mistrzostwem wykonać potrafi. Bardzo indywidualnie pojął artysta oklepane „tańce węgierskie" Brahms'a, odświeżając je tem odrębnem pojęciem.

Akompaniował p. Urstein, który zdobył sobie już zasłużoną sławę na tem polu, i znakomicie może poprzeć słowa nasze w tej kwestyi poprzednio powiedziane.

P. Burmester koncertował u nas dwa razy, zapoznaliśmy się z nim na estradzie Towarzystwa Muzycznego, a choć po tym pierwszym występie krytyka odrazu oddała sprawiedliwość znakomitemu artyście stało się, że w niedzielę, na koncercie w salach Redutowych, całe rzędy krzeseł świeciły pustkami. Czem się to dzieje? Przecież Warszawa taka muzykalna!

Br. N.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Wydawnictwa zeszytowe: *Encyklopedyi rolniczej* wyszedł zeszyt 50 (Kura).

— Henryk Konic opracował ciekawą *Kartkę z dziejów oświaty w Polsce* (str. 157), przedstawiającą „władze oświecenia publicznego i oświatę elementarną w Księztwie Warszawskiem."

— W krótkim czasie mamy już drugi podręcznik *Historyi powszechnej*. Obecny, opracowany przez H. Wernica, zawiera dzieje starożytne (str. 240). T. Paprocki.

— Nowe powieści: Elizy Orzeszkowej *Australczyk* (str. 384, Grendyszyński), Z. Kowerskiej *Znane dzieje* (str. 380, Gebethner i Wolff), A. Milewskiej *Nasze panny* (str. 76, Poznań), K. Junoszy *Przy kominku* (str. 281. Dubowski i Gajewski), T. Lemianowicza *Jedynaczka* (str. 148, T. Paprocki).

— Marya Konopnicka wydała u Gebethnera i Wolffa czwartą seryę swych *Poezyj* (str. 381).

— Wydawnictwa ludowe: K. Junoszy *Dziadowski wychowanek* (str. 75), F. Morzyckiej *O ojcowiznę* (str. 128, wyd. I): jest to przeróbka z powieści Prusa p. t. *Placówka*), E. Orzeszkowej *W zimowy wieczór* (str. 44 — skrócone przez F. Morzycką), B. Dyakowskiego *Rośliny pokarmowe* w różnych krajach (str. 120). Skład główny w księgarni M. Wizbeka.

— S. Kasprowicz, *Wiedza przyrodnicza wobec prądów ostatniej doby* (odbitka z *Ateneum*, s. 24, Wizbek).

— F. Konarski, *Metodyczna nauka języka polskiego* (str. 143, T. Paprocki).

— Dr. E. Bandrowski, *Wykład chemii ogólnej*, cz. I, chemia nieorganiczna (wyd. II, str. 335, Kraków).

— W. Matlakowski. *Hamlet* (str. 762, Kraków).

— *Głosu* nr. 1-szy wyszedł pod nową redakcyą.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

Berlin, 5 października.

Obok wspaniałych uroczystości patryotyczno-szowinistycznych, zupełnie niepostrzeżenie dla ogółu musiał przejść zjazd związków przemysłowych i spożywczych, który obradował w Augsburgu przez cztery dni przed kilku tygodniami. Sprawy poziome, dotyczące chleba powszedniego, mało mogą obchodzić rozbawiony i rozentuzyazmowany ogół, upajający się wspomnieniami czynów dokonanych i świadomością swej potęgi. Widok, jaki przedstawiał kongres, był ciekawy, choć smutny. Jak ucieszyłby się duch Schultze-Delitscha, gdyby przybywszy z kraju cieniów, ujrzał, iż w r. 1895, gdy jego naiwną wiarę w samopomoc obywatelską dawno wychłostała ręka życia rzeczywistego, istnieje jednak gromadka fanatyków, wiernych jego nauce, których przekonań nie zdołały zachwiać najoczywistsze fakty życiowe. I znowuż wygłoszono po raz nie wiem który formuły przestarzałe, mające nieść zbawienie strapionej ludzkości. Znowu zachwycano się wzniosłością „laissez faire'u," który dawno już stracił kredyt u wszystkich, co, wyrażając się stylem biblijnym, mają oczy, aby widzieć i uszy, aby słyszeć. Dla zamanifestowania swej niezłomnej wiary w zbawienność, cudotwórczość i słuszność ośmiałej formuły, oświadczono, iż związki przemysłowe i kredytowe mogą kwitnąć bez pomocy państwa. Wiara daje zbawienie, nawet wtedy, gdy życie zadaje kłam złudzeniom. W r. 1894, jak nas informuje sprawozdanie, istniało w obrębie państwa niemieckiego 11,141 związków przemysłowych i spożywczych, w tej liczbie 6,417 kredytowych, 1,412 spożywczych i 124 budowlanych. Założony przez Schulze-Delitscha obejmuje 1,474 stowarzyszeń, wiejski związek (Reifeisena) 1,672. Ludność wiejska daje większy posłuch Schulze-Delitschowi i okazuje się pochopniejszą do zakładania spółek, kas i stowarzyszeń. Rzemiosło dostarcza temu prądowi coraz mniej zwolenników i coraz więcej odszczepieńców. Apatya ta da się wytłomaczyć podwójnie. Ideały średniowieczne, którym przez odległość czasu łatwo nadać urok zwodniczy (Jäger, Jansen), szerzą się silnie wśród zbankrutowanego rzemiosła i dzięki agitacyi ciemnych demagogów. Cechy i wykaz uzdolnienia mają być deską ratunku dla rozbitków burzy industryalnej. Liberalne medykamenty Schulze-Delitscha ogłoszono za truciznę, a jako odtrutkę zaleca się środki wsteczniczе. Z drugiej strony stowarzyszenia spożywcze muszą się bronić nietylko przeciwko wrogowi wewnętrznemu, lecz i zewnętrznemu. Handel wielki i drobny wyklina je i czeka na ich zagładę. Związek centralny kupców niemieckich postanowił na walnem zebraniu sierpniowem zwrócić się do kanclerza państwa z prośbą o zniesienie urzędniczych związków spożywczych i ograniczenie sfery działalności stowarzyszeń,

hołdujących zasadom Schulze - Delitscha. Zjazd pomimo to uważa dotychczasowy stan za zupełnie zadawalający. Gdyby państwo przyszło, jak Aleksander Wielki do Dyogenesa, ofiarując mu swą pomoc, podziękowanoby mu za jego uprzejmość słowami: *noli me tangere*. Jeden z chorążych ruchu podkreślił, iż uważa za zbyteczną projektowaną przez rząd kasę centralną, której zadaniem ma być zasilanie stowarzyszeń tanim kredytem.

Od poważnych spraw ekonomicznych skierujmy nasz wzrok w inną stronę; zwrócimy się do sfery wesołej, promiennej i owianej tchnieniem młodości; wzlećmy nad poziomy razem z prof. Zieglerem, który nas wprowadzi do świata młodzieży kształcącej się, dając nam swą pracę p. t. „Student niemiecki w końcu XIX stulecia.“ Wprawdzie nie doznaje się przyspieszonego bicia serca, z kryjówki duszy nie wychodzą piękne wspomnienia o rojeniach i ideałach młodości, gdy autor przedstawia opasłego „bursza“ o porąbanej, bezmyślnej twarzy, obandażowanej, pustej głowie, brutalnych instynktach, wstrętnych przekonaniach i usposobieniu warcholskiem. Książka historyka etyki, prof. Teobalda Zieglera, zawiera w sobie wykłady, wygłoszone w uniwersytecie strasburskim. Autor był zmuszonym oddać swe poglądy pod sąd szerszej publiczności ze względu na pogłoski, któremi plotkarze bałamucili kosztem opinii prelegenta źle poinformowaną prasę. Mówca nie chciał widocznie drażnić słuchaczy ciągłem przypinaniem łatek i stawianiem pod pręgierz etyki. Pocieszając słuchaczy, iż i na słońcu są plamy, silił się przytem na odszukanie z latarką w ręku dodatnich stron w życiu i charakterze studenta niemieckiego; usiłowania te nie były uwieńczone pomyślnym rezultatem. Książka pozostała wymownem świadectwem umysłowego i moralnego ubóstwa studenta niemieckiego, pomnikiem jego ograniczoności. A jednak mają to być epigonowie młodzieży, która w końcu czwartego dziesięciolecia odegrała tak ważną rolę na scenie wypadków historycznych. Od kilku lat już rektorowie i profesorowie uniwersyteccy (za ich przykładem i Ziegler) wyrzucają młodzieży jej obojętność dla ideałów. W piersi studenta niemieckiego zgasł zapał dla wszystkiego, co wyrasta po nad poziom burd knajpiarskich, bijatyk i pijatyk.

Ziegler najbardziej załamuje ręce z powodu ich karyerowiczostwa, które urąga wszelkim polotom ducha, ma cyniczny uśmiech i wyrazy pogardy dla wszystkiego, co pośrednio lub bezpośrednio nie daje korzyści materyalnych. Uniwersytety miały być ogniskami arystokracyi ducha. A jednak pierworodztwo ducha oddano za soczewicę dóbr ziemskich. „Przeszedł czas tęczowej powieści cudów.“ Gołowąsy młodzieniec, który zaledwie wyszedł z powijaków nauki gimnazyalnej, staje się „dzielnym karyerowiczem.“ Jest to komplement, używany przez fryzyerów i restauratorów w stosunku do oświeconej klienteli niemieckiej. A jednak, co najbardziej zadziwia i pociesza w tej całej sprawie, że student niemiecki nie potrafił zaimponować opinii publicznej, która choć w innych wypadkach zwykle jest płytką, w danym razie trafnie jednak oceniła wartość moralną tej młodzieży. Postać studenta awanturnika, piwosza, antisemity, polakożercy i bismarkisty jest przedmiotem wzgardy i pośmiewiska. Trudno sobie wyobrazić numer *Fliegende Blätter* bez studenta. Jakkolwiek uniwersytet mianuje się „civitas,“ słowo to jest tylko prawie pustym frazesem. Wolność uniwersytecka jest dziś wolnym żartem. Niegdyś wszechnice posiadały swą własną jurysdykcyę. Opaska na oczach sprawiedliwości uniwersyteckiej była oczywiście przejrzystą, gdy student był dłużnikiem a filister wierzycielem, bo drugi wobec pierwszego jest stworzeniu ulepione z najzwyczajniejszej gliny, istota niższa. Zabójstwo stróża nocnego, który śmiał wziąć w obronę śpiących i Bogu ducha winnych filistrów, przez długi czas nie było uważane za zbrodnię. Czas porobił szczerby w twierdzy przywilejów uniwersyteckich, a nawet zburzył ją do szczętu. Miasta, posiadające uniwersytety, wymagają atoli od swej policyi, aby zachowywała się delikatnie i z taktem. Niegdyś filistrzy takiego szczęśliwego grodu drżeli przed studentami. Ci w razie ostateczności posiadali zawsze skuteczny środek dla napędzenia mu strachu. Podobnie jak plebejusz w starożytności i czeladnicy w wiekach średnich, studenci mogli zagrozić, iż—nie zapłaciwszy oczywiście długów — osierocą miasto w razie, jeżeli filistrzy nie skapitulują. Niegdyś manifest taki spadał na miasteczko, jak piorun. Gród delegował natychmiast deputacyę, złożoną z najbardziej krasomówczych i odważnych mężów: w imieniu obywatelstwa (włączając w to oczywiście i piękne obywatelki) oświadczano czystą łaciną, iż miasto jest dumnem z pobytu w jego murach świetlych „scholarium.“ Tem samem dawano „carte blanche“ dla odroczenia przedawnionych i nieprzedawnionych długów i zaciągania nowych. Czasy, niestety, zmieniły się. Ze sławnej wolności uniwersyteckiej — mówi Ziegler — pozostała wolność próżnowania. Student w określeniu piosenki burszowskiej jest „animal aut nihil aut aliud agens.“ Wolność śród tej młodzieży niemieckiej panuje i w dziedzinie obyczajów. Lecz tu Ziegler odkłada łokieć szablonowej etyki i przyjmuje bardzo tolerancyjne stanowisko. Jego zdaniem, dużo jest w kodeksie obyczajowym, co bezwarunkowo powinno być zupełnie wykreślono. Nasze wychowanie i wyszkolona moralność są bezwątpienia jednostajne i szablonowe; dlatego też zbywa nam na charakterach, gdyż prawdziwe wykształcenie jest wytwarzaniem indywidualności. „Jakich możemy mieć mężów, jeżeli młodzieńcy okazują się gładko oszlifowanymi, a więc przeszlifowanymi tuzinkowcami? Nas dorosłych zaprzęga życie, przyzwyczajenie, a przedewstkiem potęga opinii publicznej, do jarzma obyczajowości i etykiety; studenci są ludźmi wolnymi i nie powinni zadawać sobie gwałtu lub pozwalać na założenie kagańca konwenansów.“ Z tej racyi Ziegler broni kolorowych czapeczek, lecz z drugiej strony powstaje przeciwko różnym wybrykom, mającym za sobą jedynie tradycyę, jak np. salamandra, której istota i nazwisko są zupełnie niezrozumiałe. Jako wyznawca etyki, nie pochwala oczywiście opilstwa; w piciu jest poezya, gdy mu towarzyszy odpowiednie usposobienie. Ale co powiedzieć o piciu przymusowem, połączonem z pewnymi przepisami? Student ma na to noc i poranek. Najsurowiej smaga Ziegler rozpustę, która sprawia spustoszenia w szeregach młodzieży uniwersyteckiej; 25% studentów berlińskich ulega chorobom, świadczącym, że się tak wyrażę, o ich usposobieniu erotycznem. Czyż — woła Ziegler — nie są świętą prawdą głosy z dołu, iż córki ludu stają się żerem dla chuci synalków „dziesięciu tysięcy u góry?“ Roztrząsając tę kwestyę, Ziegler robi słuszną uwagę, iż zdenerwowanie studenta niemieckiego jest skutkiem nie przeciążenia pracą, lecz rozpusty. W Strasburgu, ku zgorszeniu filistrów, pokazują się oni często w restauracyach w towarzystwie wesołych kapłanek miłości; w tych wypadkach filistrzy witają i żegnają „filary społeczeństwa“ gwizdaniem. Ze smutkiem podkreśla autor zanik demokratyzmu wśród studentów. Niektóre burszenszafty wymagają od członków pewnego cenzusu majątkowego, drogiego ubrania, a nawet pewnej sumy długów. Od pewnego czasu szanująca się młodzież uniwersytecka uważa za naganną jazdę we trzech. Najmniej krytykuje Ziegler manię pojedynkowania i fechtunku. Widzi w tem niewinną zabawkę, mniej szkodliwą, niż ludzie przypuszczają. W ostatnich rozdziałach autor zaleca uczącej się młodzieży uczestnictwo w prądach społecznych i umysłowych. Uskarżając się na niedostateczny rozwój umysłowy tych ludzi, zachęca do gruntowniejszego studyowania literatury i poleca łaskawej pamięci nauki, nie spokrewnione z ich specyalnością.

or.

PRAWO KOBIET I MAŁŻEŃSTWO.

I.

„O Zeusie, pocóżeś zesłał na ziemię kobietę — to okrutne zło, ludziom na biedę!“ — woła bohater Eurypidesa. „Rolą kobiety — jak twierdzi indyanin — jest: otwierać kufer piekielny i wypuszczać na ziemię choroby, wojny, rozterki, głód itp.“ „Kobieta — uczenica żmii, wrota dyabelskie, ogon skorpiona“ — mówi chrześcianin z pierwszych wieków. „Nie może należeć do rodu ludzkiego, gdyż nie posiada duszy“ — utrzymywali fanatycy VI wieku. „Kobiety są *sexus sequior* pod każdym względem, rodzaj stojący niżej, drugi numer istoty ludzkiej. Swoją naturą skazane na uległość. Rozum ich nie jest wielki; puste, krótkowzroczne, przez całe życie są dziećmi“ — woła Schopenhauer. Obok tych głosów potępienia rozlegały się przyjazne dla niewiasty od najdawniejszych czasów. Jeszcze Platon wywiesił sztandar zupełnej równości natury kobiet i mężczyzn. Dewizą zaś rycerzy średniowiecznych było „służenie Bogu i białogłowie.“ Henryk Agryppa w XVI w. mówił: „Kobieta piękniejsza od mężczyzny, zdolniejsza od niego i wogóle lepiej obdarzona przez naturę.“

Mimowoli przychodzą mi na myśl te wszystkie głosy z przeszłości, gdy przedstawiam sobie obraz dzisiejszej walki o kobietę i jej prawa, gdy szereguję w pamięci wszelkie „idee,“ polemiki, tendencye powieściowe. Mamy i swoich Platonów, i indyan, i Eurypidesów, i rycerzy średniowiecznych obok pochmurnych Schopenhauerów, a nawet fanatyków z VI wieku. Kwestya kobieca jeszcze nie przestaje być źródłem wytartych komunałów, pustych frazesów, haseł, wykrzykników, pomimo że powstała w tym zakresie poważna literatura, pomimo że na całym świecie cywilizowanym i u nas stała się znaczną częścią społecznych warunków bytu, tak samo, jak wogóle kwestya pracy. Nasi wsteczniey usiłują odegnać straszydło „feminizmu“ za pomocą kamyków z wyłomów ogniska domowego, które sami dla własnej wygody porobili w ukryciu przed „kapłankami.“ Nie wiedzą czy nie chcą wiedzieć o tem, że ruch feministyczny, to już nie straszydło teoretyczne, że zaznaczył on głęboko swoje ślady w życiu rzeczywistem, że wreszcie tego rodzaju „emancypacya“ nie jest to samo, co histeryczne porywy pewnej gromady kobiet, po za deklamacyą niezdolnych ani do pilnowania kojca domowego, ani do szerszej działalności na polu społeczno-ekonomicznem, o którem marzą, jako o wielkiem posłannictwie. „Feminizm“ prawdziwy — to chleb i prawo człowiecze. Szerzej pojęty nie wyklucza on ogniska domowego, przeciwnie — racyonalniej je traktuje i stara się nadać mocniejsze podstawy wychowaniu przyszłych pokoleń.

Na Zachodzie istnieją już dziś stowarzyszenia niewieście dla polepszenia bytu ekonomicznego kobiet, zapewnienia im skutecznej opieki prawa pod względem obyczajowym, lub w celu dania tylko

sposobności zgromadzania się i niesienia sobie pomocy wzajemnej. Wreszcie są towarzystwa, dążące do reformy prawa o małżeństwie. Nie jest to wszakże ruch ściśle kobiecy, odrębny i prywatny. W ostatnich bowiem czasach już nawet izby prawodawcze niektórych krajów współdziałają w sprawie polepszenia losu kobiet. Tak np. nadzwyczaj jest doniosła reforma w prawodawstwie angielskiem, dokonana w r. 1870 i 1882 przez uchwalenie praw, dających kobiecie zamężnej legalną niezależność, czego dziś nie mają jeszcze ani Francya, ani Belgia i Szwajcarya. Wogóle rządy zaczęły zwracać uwagę na głosy kobiet i uwzględniać ich żądania. W Paryżu podczas wystawy powszechnej 1889 r. przyznano opiekę rządową „kongresowi" prac i instytucyj kobiecych, a w Chicago r. 1893 powstał „pałac kobiet" dla pomieszczenia wystawy wszelkiego rodzaju płodów pracy niewieściej, dzięki znacznej zapomodze rządu Stanów Zjednoczonych. Działalność „Federacyi wielkobrytańskiej i kontynentalnej" tudzież wielu innych stowarzyszeń, wydała już sporo owoców pożytecznych, ale nie zdołała przełamać zbyt stwardniałego muru przesądów, nawet na Zachodzie.

„Prawa kobiety"—to przedmiot najbardziej irytujący zesztywniałych zachowawców. Podsuwają oni zamiast *prawa* inny warunek społeczno-domowy: — *obowiązek* jakgdyby ten istniał jedynie dla kobiety. W gruncie rzeczy prawdziwy prąd dzisiejszego feminizmu bynajmniej niema na celu odrywania kobiety od jej naturalnego powołania. Chodzi tylko o wzmocnienie podstaw placówki w życiu domowem i ogólnem a tem samem o uświadomienie w doniosłości zadań, które bez względu na ciężar, nie gniotłyby jej, jako „jarzmo konieczńej niewoli". Tym sposobem nadanie pewnych *praw* może nie zaszkodzić lecz wzmocnić i rozszerzyć poczucie *obowiązku*.

Takiego mniej więcej zdania są właśnie rozumni i trzeźwi feminiści, a między nimi L. Bridel, profesor na wydziale prawnym w Genewie, wielki zwolennik uregulowania stanowiska kobiety w życiu domowem i społecznem za pomocą prawodawstwa. Jest to zwrot prądu „emancypacyi" bardzo racyonalny i niezmiernie ważny, więc ze względu na jego przyszłą rolę warto mu trochę uwagi poświęcić, do czego właśnie daje nam sposobność najnowsza książka Bridela *). „Któż zdolniejszym jest do pracy użytecznej dla dobra innych—powiada autor—i kto lepiej może spełniać powinności swoje, czy niewolnik, pozbawiony swobody, czy człowiek wolny, będący w pełnem posiadaniu swych praw indywidualnych?" Na to pytanie odpowiedziało już niejednokrotnie życie i w niezliczonych przykładach dowiodło, że tylko swoboda owych praw indywidualnych wydaje piękne owoce. Częstokroć wszakże ludzie nawet pełni uczuć i porywów humanitarnych nie chcą widzieć tej prawdy jedynie w zastosowaniu do kobiety i na obronę jej zależności przedewszystkiem wysuwają kwestyę pedagogiczną, która, jak to mieliśmy niedawno przykłady, ujawniła u nas silne żywioły wstecznicze. Tymczasem owa strona pedagogiczna jest głównym podkładem całej sprawy. „Jeżeli jedyną racyą bytu i celem kobiety jest mężczyzna—powiada Bridel—należy ją oczywiście wychowywać „ze względu na niego" i tak właśnie czyniono dotychczas. Jeżeli, przeciwnie, kobieta jest istotą ludzką w całem słowa tego znaczeniu, t. j. prawdziwą „osobą", należy jej dać sposób do całkowitego rozwinięcia swojej indywidualności, co właśnie zaczynają robić teraz."

Z tą kwestyą łączą się wszelkie inne, głównie na podkładzie ekonomicznym, o których mieliśmy sposobność już nieraz mówić, więc pomijając je, bierzemy kobietę wobec prawa po za małżeństwem i w jego ogniwach. Czy prawo opiekuje się dostatecznie młodem dziewczęciem wobec brutalnych zamysłów mężczyzny? Czy dziecko czternasto lub piętnastoletnie może pozostawać bez legalnej opieki pod tym względem? Prawo, opiekujące się z drobiazgową troskliwością interesami pieniężnymi małoletnich, czyż niema obowiązku czuwania nad dobrem o wiele cenniejszem? Zamach na obyczaje i uwodzicielstwo powinny być przedmiotem rozporządzeń prawnych, ożywionych innym duchem niż ten, pod którego wpływem powstały różne kodeksy (francuski karny z r. 1810). Czy z punktu prawa cywilnego jest sprawiedliwe i normalne, ażeby następstwa stosunków płciowych po za małżeństwem ciężyły wyłącznie na kobiecie, gdy mężczyzna pozostaje najczęściej wolny od rzeczywistej odpowiedzialności? Na szereg tych pytań powinno we wszystkich państwach odpowiedzieć prawo, przystosowane do życia.

Niemniej domaga się reformy stanowisko prawne kobiety w małżeństwie. Ponieważ według ogólnego pojęcia rodzina jest „właściwem polem działalności kobiety, racyą jej bytu i celem życia," zatem powinna przynajmniej w tej dziedzinie posiadać prawa, zabezpieczone legalnie. Przegląd prawodawstw europejskich wykazuje atoli wielkie braki w tej mierze i to najbardziej w krajach uważanych za liberalne. Następstwem legalnej podległości władzy męża jest zatarcie osobowości kobiety, a ztąd wynika między innemi niezdolność prawna do rozmaitych czynności życia cywilnego; usunięcie z pod jej rozporządzenia wniesionego przez nią majątku. Zarobek jej osobisty należy do męża, jak zarobek niewolnika—do pana. Wreszcie prawa matki poświęcone są prawom męża. Kobieta wogóle zamężna lub niezamężna nie może stawać w charakterze świadka przy spisywaniu testamentu, aktu ślubnego albo urodzenia. Niezdolna do sprawowania opieki nad małoletniemi; nie wolno jej być członkiem rady familijnej, z wyjątkiem gdy chodzi o własne dzieci. Kwestya praw cywilnych kobiety jest zatem pierwszorzędną.

Niegdyś w wielu krajach kobiety podlegały wogóle „opiece nad płcią" (*tutelle du sexe*) pod względem swej osoby i majątku. Dziś już tego niema, ale za to faktycznie pod innymi względami podobna opieka istnieje w zmienionej formie. Według wielu prawodawstw, kobieta cywilnie zdolna przed zamężciem, staje się prawnie niezdolną od chwili wyjścia za mąż, tj. mniej więcej znajduje się w takiem położeniu, jak małoletni, chorzy umysłowo tudzież osoby, mające kuratora lub dozór sądowy: nie mogą kupować, sprzedawać, czynić zobowiązań, odwoływać się do sądów itd.

W pewnych epokach i krajach, między innemi u żydów, świadectwo kobiety nie zasługiwało na wiarę. Stąd prawdopodobnie pochodzi późniejsze lekceważenie świadków w spódnicy, bardzo nielogiczne, bo w sprawach drobniejszych; gdy tymczasem świadectwo takie zupełnie jest wystarczające dla dowiedzenia zbrodni i skazania winowajcy na śmierć (tam, gdzie kara taka istnieje). Niektórzy obrońcy kodeksów posługują się rozumowaniem również niezbudowanem na podstawach logiki: Kobieta może być świadkiem urodzenia i przed urzędnikiem stanu cywilnego stwierdzić datę, ale żeby świadczyć w akcie urodzenia, nadać mu pożądaną uroczystość — potrzeba mężczyzny. Co do testamentów i innych dowodów notaryalnych, pierwszy lepszy może spełnić powyższą formalność, gdy kobieta, przedstawiająca najlepsze rękojmie, nie ma w tym razie żadnego znaczenia.

Takie stosunki prawne panują we Francyi i innych krajach. Zresztą kodeks francuski sławny jest z wielu sprzeczności. Na nim się wzorował włoski, więc posiadał te same usterki. Dopiero r. 1877 poczyniono pożądane zmiany, które zniosły wszelkie rozporządzenia legalne, tamujące kobietom możność świadczenia we wszystkich aktach publicznych i prywatnych. Oczywiście tą drogą powinny pójść te wszystkie kodeksy, które stworzyły taką nierowność, niczem nieuzasadnioną a szkodliwą dla interesów ogólnych, bo nie ułatwia ona, lecz utrudnia redakcyę lub sprawdzanie wszelkich aktów publicznych i prywatnych.

Do powszechnego atoli uwzględnienia praw niewieścich w tej mierze bardzo jeszcze daleko. W większości państw europejskich kobieta niezamężna ma dziś pełną swobodę korzystania z praw cywilnych. Panna, wdowa lub rozwódka w zakresie zdolności prawnej stoi na równi z mężczyzną, z wyjątkiem gdy chodzi o opiekę lub świadczenie w aktach stanu cywilnego. Najbardziej z ыś skrępowaną i upośledzoną jest mężatka, jako podlegająca władzy mężowskiej, rozciąganej nad osobą i majątkiem. Żona, związana „posłuszeństwem," pojętem w sposób nieograniczony, nie może bez zgody męża dopełniać żadnych aktów prawnych, dotyczących interesów ogólnych. W prawodawstwach europejskich tkwi zatem jeszcze dawna idea — *opieki nad płcią*, krusząca najsilniejsze podstawy logiki. „Pan domu" korzysta z przywilejów średniowiecznych, chociażby był największym niegodziwcem i marnotrawcą. Przewaga ta występuje tem brutalniej, im jest niższy poziom umysłowy danej sfery. Prawo ochrania drapieżne instynkty mężczyzny, pielęgnuje potworne cechy jego charakteru, a towarzyszka pochyla głowę z rezygnacyą i skrycie żywi w swej duszy pierwiastki protestu, nieokreślone, niesformułowane, czasem rozpaczliwie wybuchające lawą uniesienia, prowadzącego do przestępstw kryminalnych.

Zenon Pietkiewicz.

OCHOTNICZA STRAŻ ZDROWIA.

Pan Konstanty Przeździecki w jednodniówce *Prośnie* poruszył nadzwyczaj żywotną sprawę, szybkiego działania pomocy lekarskiej za pośrednictwem osobnej organizacyi, która zyskuje coraz większe uznanie na zachodzie Europy. Jest to ochotnicza straż zdrowia, w sprawności i czujności swej wielce zbliżona do ogniowej. Na szczególną uwagę zasługuje i najbardziej za wzór do naśladowania nadaje się instytucya taka istniejąca w Wiedniu. Przed domami, gdzie się mieści Towarzystwo, stoi w każdej porze dnia i nocy para koni, zaprzężonych do karety i zmienianych co 12 godzin. Powóz ten, tragi, nosze i wogóle przyrządy niezbędne, mogą być natychmiast wysłane na każde zażądanie, wraz z dyżurnym lekarzem, który wiedząc, z góry o rodzaju choroby lub wypadku, zabiera z sobą odpowiedni zapas narzędzi w osobnej szkatułce i środki opatrunkowe. Stacya jest połączona telefonem z biurami policyi dla bezpośredniego porozumienia się, prócz tego istnieją nawet gołębie pocztowe, przeznaczone na to, ażeby szybko można było zażądać pomocy dodatkowej, (po wysłaniu karety), dla tych miejscowości, gdzie niema telefonów. Wogóle kategorya nagłych wypadków w znacznej większości może być z góry przewidziana i określona przez telefon, np. pokaleczenia, potłuczenia, stratowania, niedoszłe samo-

*) Świeżo przełożona przez Maryę Chojecką p. t. „Prawo kobiet i małżeństwo," studyum krytyczne z zakresu prawodawstwa porównawczego. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1895.

bójstwa, porody śród ubóstwa i t. d. Na zawiadomienia o tego rodzaju wypadkach, lekarz wsiada do powozu i pędzi cwałem, jak straż ogniowa do pożaru. Po powrocie, torby i szkatułki nie są oddawane do sali dyżurnych ale do specyalnego magazynu, dla dokładnego uporządkowania, w poczekalni zaś są już w pogotowiu inne komplety. W razie powołania do chorych zakaźnych, idzie osobna kareta blaszana, pokryta farbą olejną dla łatwiejszego wykonania dezynfekcyi. Nie na tem wszakże koniec działalności. Straż zawsze jest obecną z całym swoim rynsztunkiem na wszelkich zbiegowiskach ludzi, na wyścigach, zabawach kwiatowych, podczas pożaru i wogóle wszędzie, gdzie istnieje prawdopodobieństwo wypadku. Podczas pożarów pokrzepia ona koniakami znużonych strażaków, podobną rolę spełnia w chwili powodzi.

Oprócz środków powyższych, istnieją jeszcze nosze, roztawione w różnych punktach miasta pod daszkami i zasłoną płócienną. Każdy przechodzień ma prawo brać je do przenoszenia chorych. Zrazu zamierzono powołać do współdziałania tej instytucyi wszystkich ludzi, którym nie jest obojętne dobro bliźnich; przekonano się atoli, że zupełnie wystarczający jest personel, złożony z lekarzy, studentów medycyny i służby. Ogół zaś niesie chętnie pomoc materyalną, hojnie popiera instytucyę pożyteczną, bo szczerze dba o jej rozwój. To też towarzystwo rozporządza znacznymi funduszami, których jednak jeszcze nie wystarcza, gdyż wszelkie posługi przy ratowaniu chorych są czynione bezpłatnie. Na wielkie uznanie zasługuje młodzież uniwersytecka, która bez względu na to, że nauka pochłania jej dużo czasu, nie waha się dyżurować i śpieszyć na każde wezwanie.

Twórcą i szerzycielem tego rodzaju urządzeń w całej Europie był morawczyk, Jaromir baron Mundy. Dzięki jego zabiegom, dziś Francya ma *Ambulances urbaines*, Niemcy i Austrya—*Rettungsgesellschaft* wszędzie działające z powodzeniem i zyskujące coraz większe uznanie. U nas nikt dotąd nie wystąpił w sprawie stworzenia takiej pomocy, a pomimo że r. 1893 p. Konstanty Przeździecki, zwiedziwszy straż wiedeńską, zdał w Warszawie sprawę ze swej wycieczki wobec „lekarzy filantropów", pokryto tę kwestyę milczeniem, snadź w przekonaniu, że takie urządzenia u nas są zbyteczne. Życie atoli mówi wręcz co innego. Może nigdzie pomoc lekarska nie jest tak dalece opieszałą, jak u nas; można skonać po długich męczarniach, można z upływu krwi umrzeć na ulicy, porodzić pode drzwiami przytułku położniczego lub na chodniku, zanim nadejdzie ratunek. Lekarzy w Warszawie i innych większych miastach mamy nawet za dużo, ale ludność w nagłych wypadkach choroby lub poranieniu częstokroć nie czuje istnienia tej armi zdrowotnej i chociaż prawie każdy człowiek stratowany, każdy, który spadł z rusztowania lub zażył trucizny na ulicy, zawsze znajdzie pomoc, bywa ona wszakże, pomimo najszczerszych chęci, częstokroć spóźnioną. Skutkiem tej właśnie opieszałości wynikającej z braku miejsca w szpitalach i wogóle odpowiedniej organizacyi, śmiertelność pochodząca z chorób nagłych i wszelkich wypadków, bywa u nas znacznie większa, niż gdzieindziej. Ile przez to społeczeństwo traci, trudno obliczyć. W każdym razie są to straty olbrzymie, niczem niepowetowane. Środki, jakich potrzeba na urządzenie ochotniczych straży zdrowia, byłyby skromnemi odsetkami tych ofiar opieszałości zdrowotnej. W Warszawie stworzone niedawno lekarskie dyżury nocne, a w okolicy podmiejskiej ambulatorya, są jakby małą cząstką, drobnym szczegółem organizacyi podobnej. Niechże to będzie początek całości, naturalnie nie takiej, jak w Wiedniu, bośmy za ubodzy na to, ażeby strażakom dawać koniak, ale znów nie tak biedni, żeby się nie znalazło środków na utrwalenie pośpiesznego ratunku w wypadkach nagłych.

D. Z. M.

W DALI.

Lublin. Rozpoczęto już studya około budowy nowej linii Lubelsko-Łukowskiej. Na mocy wezwania ministeryalnego inżenierowie otrzymali odpowiednią pomoc.—Do instytutu w Nowej Aleksandryi wniesiono przeszło 400 podań o przyjęcie na słuchaczów. Przeważnie były to prośby młodzieży ze świeżo otrzymanymi patentami zakładów naukowych średnich. Po za tem były podania pewnej liczby studentów uniwersytetu, głównie przyrodników. Dość szczupła liczba miejsc zmusiła władzę zakładu do metody konkursowej, skutkiem czego mniej pewni kandydaci cofnęli się. Rezultat jest następujący: Przyjęto bez egzaminu—sześciu: na mocy otrzymanych stopni—54. Nadto, ponieważ 12 otrzymało stopnie przybliżone do wymaganych, pozwolono im starać się przez ministeryum o przyjęcie. Przeciętna suma, za którą student utrzymać się może w Nowej-Aleksandryi, wynosi 200—250 rs. rocznie, oprócz opłaty szkolnej i ubrania.

Żytomierz. Według danych urzędowych, przebieg epidemii cholery w gub. wołyńskiej, od d. 22-go do d. 28 września był następujący: w Żytomierzu zachorowało osób 15, zmarło 7; w powiecie żytomierskim zachorowała osoba 1, zmarła 1; w Ostrogu i powiecie ostroskim zachorowało—409, zmarło—176; w Łucku i powiecie łuckim zachorowało—220, zmarło—76; w Kowlu i pow. kowelskim zachorowało—63, zmarło—10; w powiecie nowogródzkim zachorowało—78; zmarło 34; w powiecie włodzimierskim zachorowało—9; zmarły—2; w Starokonstantynowie i powiecie starokonstantynowskim zachorowało—130; zmarło—58; w Równem i powiecie rowieńskim zachorowało—151; zmarło—55; w Krzemieńcu i powiecie krzemienieckim zachorowało—183; zmarło—70; w Dubnie i powiecie dubieńskim zachorowało—278; zmarło—135; w Zasławiu i powiecie zasławskim zachorowało—288; zmarło—123.

Mińsk. Lekceważona lub traktowana dorywczo gospodarka rybna, zaczyna nabierać coraz poważniejszego znaczenia a wraz z tem dają się spostrzegać racyonalniejsze zabiegi w tej sprawie. Między innemi w pobliżu miasteczka Knyszyna gub. grodzieńskiej—postanowiono zrobić ogromne jezioro sztuczne dla hodowli ryb rozmaitego gatunku. Jednocześnie będzie oczyszczone i pogłębione znane jezioro Czechowieckie. Na ten cel zarząd dóbr hrabiny Krasińskiej—jak donosi *Minsk. listok*—przeznaczył 50,000 rs.—Położone w guberniach wileńskiej i mińskiej dobra księcia Wittgensteina, które w drodze spadku przeszły na księżnę Hohenlohe, oszacowano na rs. 14,114,144. Na mocy postanowienia sądu okręgowego i izby sądowej, przy określaniu podatku stemplowego, potrącono sumę długów w ilości 7,477,955 rs. 89 kop. Po czem majątek spadkowy wyniósł rs. 6,636,188 kop. 94, a od tej sumy skarb pobrał podatek stemplowy w stosunku 4%, ogółem rs. 265,847 kop. 56.—W Wilnie zaczyna się rozwijać przemysł sukienniczy. Fabryki powstają na krańcach miasta, w pobliżu rzek Wilii i Wilejki. Poprzednio rynek wileński zaopatrywał się w sukna wyłącznie z Łodzi i Białegostoku.—Dla nowej już linii podjazdowej w Święcianach ustanowiono już taryfę od przewozu towarów i pasażerów. Ułożona została na zasadach ogólnych, wyższa jest jednak od zwyczajnej 1½ razy. Wszystkie ulgi, obowiązujące na ogólnej sieci kolejowej, dotyczą i linii święciańskiej.—Korespondent miński *Gazety Polskiej* pisze: „Pobyt księcia Hohenlohe w Petersburgu i dla prywatnych spraw jego ma pewne znaczenie. Oto rząd rosyjski udzielił pozwolenia żonie ks. Hohenlohe zatrzymania jeszcze na lat sześć dóbr Naliboki i Lubcza, których ostateczny termin wyprzedaży upływał już z d. 1 kwietnia roku 1896. Werki już uprzednio pozwolono księżnej zachować w swem władaniu." Dalej korespondent podaje ciekawe szczegóły o tych posiadłościach: W Lubczy, istnieje ładny pałacyk, niedawno zbudowany, wspaniały zaś pałac w Werkach powstał jeszcze w wieku XVII-tym, gdy stanowiły one własność biskupa wileńskiego, Brzostowskiego. Upiększył go następnie w końcu wieku XVIII-go biskup Massalski. Werki chwilowo zostawały w ręku Potockich; do księcia Ludwika Wittgensteina przeszły około roku 1812. Oprócz wspaniałej książęcej rezydencyi posiadają one około dwóch tysięcy dziesięcin ziemi i są oszacowane na pół miliona rubli. Dochód wynosi rs. 10—15 tysięcy, utrzymanie pałacu wraz z parkiem kosztuje rocznie około rs. 50 tysięcy. Ostatecznie elegancki swój wygląd Werki zawdzięczają ks. Piotrowi Wittgenstein'owi który wydał na nie milion rubli. Pałac z przepysznym ogrodem zimowym ma pełno ciekawych zbiorów i pamiątek. Między innemi jest kilka bardzo cennych gobelinów, zakupionych ongi w Rzymie. Pamiątek poradziwiłłowskich jest mało: większą z nich część odesłano do Nieświeża. Biblioteka, zawierająca kilka tysięcy tomów, składa się przeważnie z lekkich dzieł francuskich. Pałac otaczają stawy z wodospadami i młynami wodnymi. Pyszne kobierce i klomby kwiatowe nie ustępują najwybredniejszym ogrodom zagranicznym. W parku hodowane są sarny, daniele i łosie. Werki posiadają także fabrykę papieru, (dość podrzędnego gatunku). Rocznie wyrabia ona około 30-tysięcy pudów na sumę, wynoszącą rs. 140,000.

Petersburg. Wkrótce sfery ministeryalne będą rozpatrywać projekt przedłużenia kolei w kierunku Moskwa Kazań—Woroneż Rostow i Moskwa—Charkow—Rostów. Wielce w tem są zainteresowani fabrykanci moskiewskiewscy którym głównie chodzi o węgiel kamienny z kopalni donieckich. Skutkiem rozwoju przemysłu, popyt na ten produkt ciągle wzrasta. Moskwa zużywa węgla tak dużo, że koleje istniejące nie mogą zaspokoić jej wymagań.—Na wystawie w Niższym-Nowgorodzie będzie urządzony wydział wschodni wraz z charakterystyką życia domowego i warunków ekonomicznych chińczyków i japończyków. Dział ten ma głównie na celu zapoznanie kupców i przemysłowców z potrzebami owych krajów.

SPRAWY EKONOMICZNE

WYSTAWA
PRZEMYSŁOWO-ROLNICZA
W WILNIE

II.

Komitet wystawy wileńskiej, jak widzimy, stale dokonywa cudów, ma bowiem zawsze z tych przedsięwzięć dochody, wówczas gdy znaczna większość wystaw na całym świecie zamyka kasę z niedoborem. Powtarzamy raz jeszcze, że o ile Towarzystwo wyścigów uważa wystawy za dobrą aferę, a siebie za uprawomocnionego przedsiębiorcę — wolno mu szukać tych zysków i cieszyć się nimi, lecz w takim razie już wkrótce trzeba będzie oczekiwać, że przejrzą zarówno wystawcy, jak i publiczność. Nie wszyscy bowiem mogą i chcą dopatrzyć wielkich korzyści w powodzeniu materyalnem Tow. wyścigów, a za to już bardzo wielu napróżno w siedmiu wystawach szukało postępu i rozwoju dla dobra ogólnego. Rzecz prosta, że trudno byłoby za brak postępu w gospodarstwach folwarcznych robić odpowiedzialnym komitet wystawy lub całe Towarzystwo wyścigów, ale można zawsze z pewną ścisłością oskarżać i pierwszy i drugie o zupełny brak dobrej woli w udoskonaleniu wystaw, choćby nawet kosz-

tem zupełnej straty zysków z tego źródła. Dlaczego na takich popisach stale niema dobrych, ściśle laboratoryjnych ekspertyz, stacyi doświadczalnej, poglądowych obrazów fabrykacyi w oddzielnych działach (np. w mleczarstwie, serowarstwie, pszczelnictwie itp.)? Czemu np. komitet dotąd nie wpadł na pomysł, aby na każdą wystawę sprowadzać po kilku specyalistów w różnych drobnych przemysłach, jak: sitarstwie, koszykarstwie, powroźnictwie i wielu innych, aby oni odbywali wykłady praktyczne w zakresie rzemiosła? Jeśli nikt inny, to niewątpliwie te paręset osób służby przy okazach mogłyby doskonały mieć pożytek z takich wzorów pracy i korzystać z czasu, który dziś zużywa na wysypianie się i bezmyślne próżniactwo. Wyobraźmy sobie, jak wielką mogłaby być korzyść z tych wykładów co dwa lata, za każdym razem dla innych ludzi, przybywających z różnych stron czterech gubernij. Ale to wszystko pochłaniałoby dużo dobrej woli, energii, a co najgłówniejsza, pieniędzy, a komitet wystawy za jakąbądź cenę postanowił tych pieniędzy dostarczać kasie Tow. wyścigowego. Wobec tego czemże więc jest dzisiejsza i czem były dotąd wszystkie wystawy rolnicze w Wilnie? — Tylko sferą, pompą, która ssie z kieszeni ogółu dla napełnienia kasy Tow. wyścigowego.

Prawdopodobnie wszyscy (30) członkowie komitetu zgodzą się na to, że wystawa rolnicza w Wilnie może i powinna mieć przed sobą trzy cele: 1) otworzenie nowych rynków zbytu dla wytwórczości, a kupna — dla spożywców; 2) wzajemne współzawodnictwo producentów w każdej gałęzi i 3) najłatwiejszą i najkorzystniejszą drogę poglądową oświecenia ogółu o stanie rolnictwa krajowego, jego potrzebach i łączności ze wszystkimi innymi działami pracy ekonomicznej. Tak, niewątpliwie każdy się na to zgodzi, lecz w rzeczywistości rzecz się ma inaczej. Cel pierwszy jest zrozumiany bardzo słabo, drugi bywa osiągany tylko w rzadkich wypadkach, a o trzecim — nikt nawet i nie myśli.

Wystawa przemysłowo-rolnicza w Wilnie obejmuje tylko cztery gubernie: wileńską, kowieńską, grodzieńską i mińską, to znaczy, że wszystkie wystawione zwierzęta powinny być urodzone w granicach tych gubernij, a wszystkie roboty, produkty i wyroby te wytworzone z materyałów jedynie miejscowych. Wszyscy inni wystawcy i okazy — mogą brać udział tylko po za konkursem. W dziale VII zarząd stale czyni znaczne odstępstwa w kontrolowaniu materyałów, używanych do wyrobów. Według § 17, obowiązkiem komisyi ekspertów jest ocena wartości okazów, przyznanie nagród i podanie wymotywowanych referatów o dokonanej ekspertyzie.

We wszystkich protokółach komisyi w r. b. nie spotkaliśmy ani jednego takiego referatu, a zdawałoby się, że gdyby one istniały, powinny być jak najszerzej i najotwarciej ogłaszane.

W uwadze do oddziału III-go czytamy: „Ekspertyza dokonywa się zgodnie z metodą, praktykowaną przy badaniu nasion na stacyach doświadczalnych, z określeniem procentu zawartości przymieszek, wskazaniem wagi gatunkowej, a także użyteczności technicznej i gospodarskiej."

Na wystawie r. b. nikt o czemś podobnem nie słyszał; spotkaliśmy się tylko z gołosłownem zapewnieniem, że była robiona ekspertyza kartofli. Dlaczego rezultatów nie ogłoszono przy tych samych kartoflach, co przecież byłoby korzyścią i wskazówką dla rolników i nabywców?

Niemało byliśmy zdziwieni brakiem oddziału, jednego z główniejszych na każdej wystawie rolniczej: melioracyj i prob, doświadczeń i innych materyałów naukowych. Po obejrzeniu dokładnem napotkaliśmy jeden jedyny okaz, nadający się do tego oddziału: plan osuszenia i irygacyi łąki wł. p. Laskowicza w dom. Kirjanowce, wykonany przez inż. K. Gierdwojnia. Komitetet urządzający dał mu miejsce w oddziale IV, śród ogrodnictwa dekoracyjnego. Czyżby sądził, że poprawa łąk jest zabawką na równi z pięknymi kląbami, gazonami itd.? Taka klasyfikacya okazów — to przecież szczyt ośmieszenia siebie w oczach wszystkich inteligentnych i świadomych widzów. Pp. eksperci poszli jeszcze dalej i okaz ten pominęli najzupełniejszem zapomnieniem w swoim wyroku; a więc poświęćmy mu słów kilka w imię prawdy i bezstronności.

P. K. Gierdwojń w r. 1888 osuszył mokrą, torfiastą i pokrytą licznemi kępami łąkę w m. p. Laskowicza za pomocą całej sieci rowów odkrytych, a następnie w r. 1893 na części tej łąki, przestrzeni 33 dziesięcin, urządził sztuczną irygacyę z systemem grobel usypanych, rowów odpływowych i dopływowych, szluz itp. Koszty tych robót wynosiły: za osuszenie jednej dziesięciny 6 rs. 66 kop., za irygacyę jednej dzies. 54 rs. 55 kop., a więc koszt jednej dzies. 61 rs. 21 kop., licząc już w tem całość rozchodów aż do najdrobniejszych szczegółów. Łąka przed osuszeniem dawała 2,500 p. siana, dziś ilość podwójną — 5,000 p. Wydajność może się jeszcze zwiększyć, gdy dobrze porosną wszystkie przestrzenie obsiane. Rezultat pieniężny tak się przedstawia: nadwyżka zbioru siana, 2,500 pudów, licząc pud po kop. 18, wynosi 450 rs. Należy z tej sumy strącić 130 rs. rocznie na amortyzacyę szluz drewnianych i na koszty utrzymania w porządku grobel i rowów, a wtedy reszta pozostała 320 rs. stanowić będzie już *czysty dochód* od kapitału straconego 61 rs. 21 kop. $\times 33 = 2{,}019$ rs. 93 kop. Właściciel zatem otrzymuje 15,8%! Nazwisko wykonawcy, p. Gierdwojnia, jak niemniej i właściciela, p. Lachowicza, dają nam zupełną rękojmię, że cyfry powyższe są wiarogodne. Czyż więc to nie jest wymowne zaprzeczenie wszystkim bezmyślnym sądom, które nakłady gospodarcze nazywają kosztowną tylko zabawką? Czy taka praca, jedyna na wystawie wileńskiej w r. b., nie zasługuje na najwyższe uznanie? Zapytajmy wszystkich 73 pp. sędziów i ekspertów: czy wolno ją pominąć milczeniem wówczas, gdy wydajemy dziesiątki nagród za popisy dyletanckie, choćby np. w hodowli koni, gdy bojnie wyrażamy w ten sposób uznanie jedynie z *grzeczności* i dla zadowolenia drobnych ambicyjek? Nie i nigdy — a to pod groźbą, że nie mamy najmniejszego wyobrażenia o zadaniach rolnictwa i jego potrzebach, że przy takich warunkach postępujemy bardzo źle, przyjmując na siebie obowiązki, których nie chcemy i nie umiemy wypełniać uczciwie i rozumnie.

Napoleon Rouba.

PIEKARNIE SPOŻYWCZE.

Na porządku dziennym w naszym „Merkurym" jest od pewnego czasu sprawa założenia własnej piekarni. Kilku członków, zachęconych przykładem towarzystwa spożywczego we Wrocławiu, wystąpiło z wnioskiem stworzenia podobnego przedsiębiorstwa w Warszawie. Wybrano delegacyę, zaproszono specyalistów, ażeby rzecz zbadać gruntownie. Rezultat był taki, jakiego z góry trzeba było oczekiwać: na pochopnych wnioskodawców, którzy usiłowali swoją instytucyę wyprowadzić ze słodkich wczasów i zniewolić do większej ruchliwości, wylano sporo zimnej wody — dodajmy, zupełnie zasłużenie, co nie przeszkadza, ażeby nasze sympatye leżały po stronie niefortunnych śmiałków.

Członkowie zarządu, przy współudziale specyalistów zaproszonych, obrachowali koszty prowadzenia piekarni i doszli do przekonania, że założona na potrzebę sklepów Stowarzyszenia, ani w połowie nie pokryłaby kosztów administracyi. Co rok trzeba byłoby dopłacać najmniej 5,000 rs., nadto „Merkury" utraciłby rabat, otrzymywany dzisiaj z pieczywa sprzedawanego. Przyczyna leży w tem, iż piekarnie małe, tj. takie, których obrót nie przewyższa w ciągu roku 50 tysięcy rubli, opłacają się tylko wtedy, gdy właściciel jest fachowcem i własnoręcznie pracuje wraz ze swoją rodziną w zakładzie. Ale gdzie cała administracya musiałaby się składać z osób, otrzymujących wynagrodzenie za swoją pracę, tam wydatki byłyby stosunkowo za wielkie. Niepodobna więc marzyć o założeniu piekarni tylko na potrzeby Stowarzyszenia; co zaś do wyrobu pieczywa na wielką skalę, przeznaczonego dla kundmanów, nienależących do liczby członków, na to trzeba naprzód odpowiednich kapitałów, powtóre zaś, wobec istnienia w Warszawie kilkuset piekarni, interes taki byłby bardzo ryzykownym.

Sprawdziliśmy sami te wywody i musimy przyznać zarządowi słuszność. Proponowano przedsiębiorstwo bezwarunkowo naraziłoby „Merkurego" na poważne straty — dlaczego zaś tak jest, zobaczymy niżej. Sprawozdanie, prócz powyższych argumentów, użyło jeszcze innych. Wnioskodawcy powoływali się na wzory wrocławskie; trzeba więc było odeprzeć te świadectwa i wykazać, że różnią się one od naszych do tego stopnia, iż o przeniesieniu stosunków tamtejszych na grunt warszawski nie może być mowy. Dowiadujemy się, że wymagania publiczności niemieckiej nie dają się porównać z wymaganiami spożywców warszawskich. We Wrocławiu wypiekają czysty chleb żytni, który długo nie czerstwieje i nawet po kilku dniach znajduje chętnych nabywców. Spożywcy nasi żądają tymczasem pieczywa ze znaczną domieszką mąki pszennej — chleb taki już nazajutrz jest mocno czerstwy, później zaś zupełnie niemożliwy do użycia, nadto nasz ogół nie kupuje chleba czerstwego. Strata na nim jest nieznana w Niemczech, w naszem piekarstwie zaś stanowi bardzo ważną rubrykę. Wreszcie pieczywa białego jest u nas około stu (?) gatunków, w Niemczech zaledwie kilka i koszty produkcyi z tego powodu muszą być w Warszawie stosunkowo wielkie.

Nie byliśmy we Wrocławiu, nie możemy więc powiedzieć, o ile powyżej przytoczone przedstawienie odpowiada rzeczywistości; zaznaczymy tylko, że jedliśmy także chleb pszenny z piekarni spożywczych w innych miastach Niemiec i że nie zauważyliśmy w nim czerstwości. Natomiast na podstawie wzorów, skądinąd zaczerpniętych, mamy prawo wyrzec, że ostatnio przytoczone argumenty wykazują w tej mierze zupełną nieznajomość stosunków zagranicznych, które przecież zarząd największej naszej instytucyi tego rodzaju powinien znać nieco gruntowniej. Śledzimy od lat wielu uważnie rozwój idei kooperacyjnej, zwłaszcza zaś próby wytwarzania różnych przedmiotów użytku codziennego we własnych zakładach stowarzyszeń spożywczych. W tej liczbie wypiekanie własnego chleba stanowi wszędzie jedną z ważniejszych gałęzi produkcyi artykułów spożywczych. W Anglii, gdzie kooperacya rozwinęła się najbujniej i pojedyńcze towarzystwa powiązały się ze sobą w olbrzymią organizacyę, stowarzyszeni konsumenci posiadają nawet własne młyny, na których mielą potrzebną mąkę. Przedsiębiorstwo to rozwinęło się do tego stopnia, że dzisiaj poniekąd reguluje ceny mąki na rynku londyńskim i oddało niejednokrotną przysługę całemu krajowi, rozbijając spiski spekulantów. Przy młynach

istnieją piekarnie, wytwarzające biszkopty i suchary, oraz zwykłe pieczywo. Lubo posiadam pod ręką bardzo szczegółowe dane co do kooperacyi w W. Brytanii, to przecież nie znajduję tam pozycyj wyszczególnionych drobiazgowo i muszę poprzestać na wzmiance, że usiłowania w tej mierze uwieńczono tam powodzeniem. Natomiast co do Belgii, mamy w pracy p. Laurenta *Associations cooperatives de consommation* szczegółowe przedstawienie dziejów wypieku chleba. Wogóle, kraik ten zastosował zasadę spożywczą do mnóstwa zakresów: istnieją tam apteki, utrzymywane przez spożywców, restauracye, rzeźnie. Zwłaszcza jest wiele piekarni. Są one w Charleroi, Verviers i innych małych osadach fabrycznych, w których liczba spożywców stowarzyszonych na pewno ustępuje naszemu „Merkuremu," a przecież piekarnie działają doskonale. Najwyżej jednak stoi Gandawa, gdzie ulokowało się towarzystwo „Vooruit." Powstało ono w r. 1883, za pożyczony kapitał 2,000 fr.; wpisowe wynosi 20 kop., oraz dalsze 40 jest potrącane z pierwszych dywidend. Główna czynność jego to wypiek chleba. W r. 1889 — w ostatnim, z którego posiadamy wyczerpujące dane — wypiekano 7,500 bochenków dziennie (w r. 1890 liczba ta podniosła się do 9.000). Produkcya roczna wynosiła 2,400,000 kilogramów, czyli, w pieniądzach, obrót równał się 840 tys. franków, z tej cyfry 288 tysięcy stanowiły czysty dochód. Każdy spożywca, należący do towarzystwa, otrzymał w końcu roku przeciętnie 72 fr. (około 30 rubli) jako część swoją z podziału zysków! Dochód taki pochodzi przedewszystkiem z tego, że piekarnia, posiadająca około 4 tysięcy członków, jest stosunkowo tanio prowadzona, jak wszelkie przedsiębiorstwa, obliczone na wielką skalę; następnie wprowadziła u siebie możliwe udoskonalenia techniczne, co także wpłynęło dodatnio na koszty wypieku, wreszcie zastosowała środki, które usunęły możliwość strat na pieczywie czerstwem, czego tak mocno obawia się nasz „Merkury." Mianowicie co sobotę wieczorem i w niedzielę rano w sklepach „Vooruitu" spożywcy z góry kupują na cały tydzień bony na pieczywo. Dowód taki, niezużytkowany w danym czasie, traci swoją wartość. Piekarnia więc zna potrzeby swoich spożywców i do nich przystosowywa produkcyę. Pieczywo zamawiano rozsyła codziennie do domów.

Również we Francyi istnieje mnóstwo piekarni spożywczych, żadna jednak nie jest tak wielka, jak gandawska. Niektóre są małe i zasługują na uwagę z tego powodu, iż dowodzą, że drobne rozmiary bynajmniej nie przeszkadzają powodzeniu. W Guise np. istnieje zakład, wypiekający dziennie tylko 500—600 kilogramów i posiadający rocznego obrotu zaledwie 36 tysięcy franków, tj. o wiele mniej, aniżeli wynosił według sprawozdania (str. 15) roczny obrót w naszym „Merkurym." I jakoś, mimo to i opłacanej administracyi, istnieje ona i rozwija się.

Ta krótka wycieczka do Belgii i Francyi wykazała nam, że niesłusznie użyto niektórych argumentów przeciwko projektowi założenia przez „Merkurego" własnej piekarni. Są bowiem środki zapobieżenia stratom na chlebie czerstwym. Piekarnie spożywcze istnieją w Belgii, chociaż obywatele tego kraju jadają chleb pszenny i nie posiadają zalet wrocławian. Ale przykłady owe nie mają racyi wobec tego, iż obrót roczny towarzystwa warszawskiego jest zbyt mały, aby zdołał utrzymać własną piekarnię. Według obliczeń specyalistów, trzeba rocznej sprzedaży pieczywa przynajmniej za 30 tys. rubli, tymczasem faktycznie, w ciągu 51 i 52 półroczy, wyniosła ona tylko 22¼ tysiąca. Obrót to bardzo nieznaczny, jeśli zważymy, że „Merkury" liczy 2,085 członków. Przeważnie są to ludzie familijni. Gdyby każdy z nich kupował w sklepach towarzystwa przynajmniej dwufuntowy bochenek chleba żytniego dziennie i białego pieczywa za 5 kop., to obrót wynosiłby już 75,000 rs., a zatem półtrzecia razy więcej, aniżeli żądana cyfra minimalna dla założenia własnej piekarni. Zaznaczmy jeszcze, że w „Merkurym" kupują towary nieczłonkowie i że zakupy, przez nich zrobione, półtora razy przewyższają samę, na którą nabywają przedmioty uczestnicy rzeczywiści. Biorąc pod uwagę faktyczny obrót pieczywem, stosunek pomiędzy różnemi kategoryami kupujących, wreszcie cyfrę sprzedaży chleba, bułek itd., otrzymamy, że pojedyńczy członek stowarzyszenia bierze w jego sklepach dziennie pieczywa tylko za kopiejkę! Rzeczoznawcy zapewniają mię, że tak samo dzieje się ze wszystkiem. Według moich obliczeń okazało się, iż z dokonanych sprzedaży wypada przeciętnie na członka rzeczywistego dziennie: mleka tylko za ½ kopiejki, masła za 1¼ kop., cukru za 5 kop. Są to cyfry śmiesznie małe, tak dalece, iż możemy zadać sobie pytanie, dla kogo istnieje warszawskie towarzystwo spożywcze, dla członków, czy dla osób postronnych? Co do pieczywa, możliwą jest wymówka, że dla służącej za daleko szukać sklepu, lecz co do cukru, masła, to chyba trudno powoływać się na to. „Merkury" to jedyne w świecie stowarzyszenie spożywcze, które własni członkowie omijają. Konsumenci utyskują, że produkty nie odznaczają się dobrocią: ten narzeka na mąkę, tamten na masło. Skądkolwiek zresztą pochodzi obojętność członków, w każdym razie sprawia ona to, że stowarzyszenie, posiadające przeszło 2,000 uczestników, nie może ważyć się na własną piekarnię.

Spożywcy narzekają na zarząd, ten zaś składa winę na ospałość i obojętność pierwszych. Tamci wskazują lichotę wielu produktów; są znowu zarzuty, iż na zebraniach bywa zaledwie po kilku przedstawicieli. Sądzimy, że obie strony winny, ale swoją drogą na kierowników pada większa odpowiedzialność. „Merkury" powstał nie z odczutej potrzeby oswobodzenia się od pośredników, ale dlatego, że znalazło się grono chętnych i dobrze myślących osób, które postanowiły przeflancować do naszego kraju ową płonkę wyższej kultury. Ten i ów wziął udział w imię dobra publicznego. Na zarządzie spoczywał obowiązek wykazania korzyści z takiej formy związku. Nie umiał tego uczynić! Od czasu do czasu przychodzą doradcy, usiłujący wlać nieco życia w martwą instytucyę. Niestety, środki, przez nich podawane, są tego rodzaju, iż mogą chorego niebawem wyprawić odrazu na tamten świat. Do takich projektów zaliczamy piekarnię spożywczą. Natomiast są inne sposoby, które zdołałyby oddziałać dodatnio i bez ryzyka. Dwa tysiące osób stowarzyszonych, to wielka siła! Grono kobiet warszawskich, przeważnie nauczycielek, nie liczące dziesiątej i może dwudziestej części tej cyfry, zdołało na aptekach wywódz ustępstwo dla siebie, wynoszące pono do 30%. Czyż „Merkury" nie mógłby wejść w porozumienie z pewną liczbą aptek, cukierni (zwłaszcza podczas świąt Wielkanocnych), składów materyi (np. żyrardowskim), z szewcami, krawcami itd. — jego członkowie nabywaliby przedmioty tylko w danych firmach, które natomiast czyniłyby ustępstwa 10—20-procentowe? Jest to praktyka, stosowana przez związek urzędników pruskich, który porozumiał się nawet z księgarniami, łaźniami, składami mebli, fryzyerami itd. Każda z firm dałaby możliwy rabat, ażeby sobie zapewnić wielką klientelę. Zarząd znalazłby dużo przykładów i środków działania, gdyby zechciał rozpatrzyć się we wzorach zagranicznych. Takie doraźne korzyści ściągnęłyby spożywców, a wtedy projekty stałyby się możliwe. Należałoby zacząć od zniżenia składki wpisowej, która wyjątkowo jest wysoką w porównaniu z zagranicą.

Ż.

Wyjaśnienie. Ministeryum skarbu dowiedziawszy się, iż kantory bankierskie i sklepy wekslarskie odmawiają przyjmowania monety srebrnej rublowej, półrublowej i 25-kopiejkowej na równi z rublami kredytowymi i monetą wymienną — wyjaśnia, że wszystkie kantory Banku państwa, kasy oszczędności, kolejowe, pocztowo-telegraficzne, celne, słowem wszystkie rządowe przyjmują w opłatach monetę bankową srebrną w nieograniczonej ilości, na równi z biletami kredytowymi i monetą wymienną, wydają monetę bankową srebrną stosownie do posiadanej ilości w kasach, na równi z biletami kredytowymi rubel za rubla; kasa wymienna Banku państwa dokonywa bez przerwy wymiany biletów kredytowych na srebro i monety srebrnej na bilety kredytowe rubel za rubla bez żadnych dopłat ani potrąceń.

— Ogłoszono ustawę Towarzystwa rolniczego w Witebsku. Kapitał wynosi 100,000 rs., złożonych z tysiąca akcyj.

— Inżenier Kiślański i hr. Czacki otrzymali koncesyę na utworzenie Towarzystwa wyrobu produktów chemicznych i nawozów sztucznych, z kapitałem rs. 600,000, złożonym z akcyj 250-rublowych.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Podano wniosek, ażeby cudzoziemców w przyszłości usunąć ze stanowisk dyrektorów towarzystw akcyjnych.

— Wiadomość, podana na tem miejscu w numerze poprzednim z depeszy, brzmi dokładniej według doniesienia *Now. Wr.*: „Ministeryum spraw wewnętrznych wydało rozporządzenie, aby od d. 13 stycznia 1896 r. zebrania okręgowe Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem, wybierały na radców dyrekcyj szczegółowych, dyrekcyi głównej, komitetu Towarzystwa tudzież na ich zastępców tylko osoby, znające gruntownie język rosyjski i korespondujące biegle w tym języku.

Szkoły. *Swiet* zapewnia z „wiarogodnego źródła," że t. zw. „kursy Bestużewa," stanowiące wstęp do wyższego wykształcenia kobiet, w Petersburgu, będą wkrótce rozwinięte.

— Poruszono sprawę obowiązkowego nauczania w gub. kowieńskiej.

— Instytut elektro-techniczny w Petersburgu postanowiono przekształcić. Ma być dodany kurs płatny; osobom zaś, kończącym zakład, przyznawany będzie stopień inżeniera-elektrotechnika.

— Do Instytutu górniczego przyjęto w r. b. z 508 kandydatów tylko 70, do elektrotechnicznego ze 160 — 40. Do Akademii medycznej wstąpiło 150 studentów.

— Jeden z uczniów z powodu choroby, stwierdzonej świadectwami lekarskiemi, opuścił dużo lekcyj i egzaminy. P. minister oświaty uwzględnił jego prośbę i pozwolił składać egzamin w jesieni. Przy tej sposobności oświadczył, że chociaż nie może wydać ogólnego rozporządzenia, to przecież w każdym pojedyńczym wypadku gotów jest przyjmować odpowiednie podania. (*Birż. Wied.*).

— D. 10 b. m. rozpoczęły się lekcye w warszawskim Instytucie głuchoniemych i ociemniałych.

Zdrowie publiczne. Postanowiono w Warszawie jeden ze szpitalów przeznaczyć dla nieuleczalnych wobec tego, że dziś przy płaceniu mają oni wstęp do wszystkich, więc zajmują miejsca, niezbędne dla chorych innych kategoryj.

Koleje i komunikacye. Dla wymiany korespondencyi telegraficznej z Chinami, oprócz istniejących linij otwarto nową przez Bachty—Czuguczak. Tymczasowo można tą drogą przesyłać telegramy tylko do Chin Zachodnich.

— Ministeryum komunikacyi wysłało inż. Rudnickiego na Kaukaz dla przeprowadzenia studyów około budowy kolei przez pasmo gór.

— Właściciele mieszkań letnich w Otwocku postanowili urządzić pocztę czasową i połączenie telefoniczne z Warszawą.

— Odbyły się próby z telefonem między Petersburgiem a Moskwą. Sygnały i słowa dochodzą nie-

wyraźnie. Przekonano się, że na wielką odległość zamiast drutów telegraficznych zwyczajnych powinny być użyte miedziane.

— Na niektórych kolejach postanowiono urządzić dzwonki elektryczne w wagonach pasażerskich do oddziałów służbowych w ten sposób, aby każdy podróżny mógł w razie potrzeby wezwać konduktora. Sygnały takie już istnieją w jednym z pociągów pocztowych kolei Nadwiślańskiej.

Znajomość geografii. Słynny przylądek Krymu w pobliżu Eupatoryi — Tarchankut, niebezpieczny dla statków, nie może od paru lat doczekać się swojej właściwej nazwy w *Kuryerze warsz.* Obecnie (z powodu osadzenia się statku na mieliźnie) ochrzczono go znowu innem mianem: „Tarchankuła." Nie zawadziłoby czasem zajrzeć do odpowiednich podręczników.

Wypadki. Dnia 6 b. m. (według depeszy z Brukseli) zdarzyła się straszna katastrofa pod Ottignies. Pociąg osobowy, idący z Nivelles, zetknął się z parowozem. Sześć wagonów i obie lokomotywy pogruchotane, dużo osób zabitych i ranionych.

Zmarli. Wiktor Rydberg, poeta szwedzki, w Sztokholmie.

— Dr. Józef Oettinger, b. profesor wszechnicy Jagiellońskiej i autor. Wybitniejsze jego prace: „Umiejętność lekarska wobec szkół, a w szczególności wobec urojonej szkoły dawnej i nowej", „Nikodem Felicyan z Bętkowic Bętkowski"; „Uwagi nad głównemi chorobami nagminnemi"; „O przesądach lekarskich w różnych wiekach"; „Niektóre ważniejsze właściwości polszczyzny w porównaniu z mową niemiecką, objaśnione przykładami z piśmiennictwa lekarskiego"; „Rzut oka na najcelniejsze nabytki doświadczenia lekarskiego na tle dziejowem"; „Upośledzona wolność moralna lekarza"; „Lekarze-astronomowie w Polsce"; „Rys dawnych dziejów wydziału lekarskiego uniwersytetu Jagiellońskiego od założenia tegoż w r. 1364 aż do reformy, dokonanej przez komisyę edukacyjną w r. 1780"; „Nieco z dziejów lekarskich przedhistorycznych"; „Zbiór pism Hyppokratesowych w świetle krytyki nowożytnej"; „Dżuma w Europie w stuleciu bieżącem i przeszłem."

Odpowiedzi Redakcyi.

M. H—k. Nie możemy Panu publicznie rozjaśnić tak drażliwej sprawy. Nadmienimy tylko, że o żadnym syndykacie nic a nic nie wiemy.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 29 Сентября 1895 г. Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.